

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Bożena Budzińska

MATOWE OKNO

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

LETNIE CHOROBY

Tabliczka wisiała na drzwiach domu od kilku godzin. Ciotka Maria, bardziej niż ja pod-ekscytowana, raz po raz otwierała drzwi, niby to wyglądając listonosza, który miał przynieść emeryturę, ale ja wiedziałem, że nawet listu od byłego narzeczonego nie oczekuje tak niecierpliwie, jak pierwszych pacjentów. Zeszła się z nim ponownie na tydzień po pięćdziesięciu latach rozłąki i teraz, powróciwszy już z krótkich wakacji na wyspę, gdzie osiedlił się dawno temu, Kamilo pisywał nad podziw regularnie, kaligrafując nasz adres najpiękniejszym pi-smem, jakie widziałem.

Ale na mojej tabliczce także widniały kształtne litery, czarne na złotym tle, mój to był po-mysł, żeby drzwi gabinetu prezentowały się inaczej niż u wszystkich innych lekarzy. Chcia-łem przyciągnąć pacjentów wyszukany wystrojem, nim zdobędę doświadczenie, sławę i będę mógł pobierać te bajecznie wysokie honoraria, o których marzyła ciotka Maria. I ja też, choć bardziej zależało mi wtedy na opinii, tyle pracy włożyłem w zdobycie dyplomu, więc teraz trzeba by nacieszyć się możliwością korzystania z uprawnień, mówiłem sobie i nawet gdy zamknąłem oczy, widziałem pulsujący czarno napis:

DOKTOR MAC VIRY SPECJALISTA CHORÓB LETNICH

Użyłem oczywiście pseudonimu, żaden letniarz nie odważyłby się występować pod wła-snym nazwiskiem; rodziny beznadziejnych przypadków osławiłyby go przed opinią pu-bliczną, siłą, której tak bał się ojciec, wprawdzie tylko specjalista chorób zimowych. Rycerz Angin, jak go nazywano w mieście, ale coś mi z tych obaw pozostało, mimo że nie zatrudni-łem nawet ochroniarza, tylko w rejestracji ciotkę Marię. Miała na początek zastępować także pielęgniarkę, póki nie uzbieram funduszy na zatrudnienie jakiejś cipki, tak mówiła, lecz ja wiedziałem, że Marii sprawia przyjemność asystowanie mi przy pracy. Lubiła mnie od dnia mych czternastych urodzin, kiedy na rodzinnym zebraniu zostałem przyjęty do grona doro-słych mężczyzn. Z tej okazji wydano przyjęcie w ogrodzie, stałem przy wielkim stole i przyjmowałem prezenty, w większości pieniądze albo czek, to tym darom zawdzięczam, że mogłem rozpocząć studia.

Pewnie teraz będę musiał leczyć rodzinę ciotki Wiesi za darmo, pomyślałem, ale się oni rozplenili, ze trzydzieści osób, nie znam wszystkich nawet z imienia. Natychmiast przyszło mi jednak do głowy, jak uchronić się przed bankructwem: poradę dam za darmo, nie wpisując jej do książki, a za leki i recepty niech płacą, nie będę dokładał do interesu, niech tylko spró-bują szemrać. Mama uważa, że nierozsądnie wybrałem specjalność. Letniarstwo skazuje mnie na praktykę w rodzinnym okręgu, poza którym nie występują „moje ukochane” gorące choro-by. Gdybym został na przykład pediatrą, mógłbym wyjechać z miasta w wielki świat, a tak zawsze pozostanę prowincjuszem, każdy mój krok i gest będzie tematem publicznych roz-mów. Jako najlepszy specjalista chorób letnich muszę się z tym liczyć i wiedzieć, że tylko sam sobie będę winien, jeżeli nie zrobię kariery naukowej.

Oj, Mamo! Chciałem nieraz powiedzieć kochanej rodzicielce, jak to ja uwielbiam zajmo-wać się teorią, formułować przedziwnie brzmiące hipotezy. Ale ona chciałaby widzieć moje artykuły w fachowych periodykach, a książki oprawione w pełną zwierzęcej powagi brązową skórę na oszklonych półkach w gabinetach ordynatorów klinik. Jakże czułbym się, siedząc na takiej półce, sam mogłbym w tym miejscu zapaść na jakąś letnią chorobę i kto by mi wtedy pomógł? Jeden z patafachów, do których prowadzono sąsiadkę nieboszczkę, nie dowiedzieli-

śmy się wtedy, na co w końcu umarła, a imaly się jej letnie infekcje, że strach o tym pomyśleć, więc ojciec wywnioskował, że złapała którąś z tych obrzydliwych letnich zakaźności, chronił mnie i siostrę przed tym paskudztwem, choć miał prawo praktykować tylko zimą, zaś latem powinien zapadać w sen sezonowy, jak to czyni wielu aktywnych zawodowo uzdrowicieli przez dużą część urlopu.

Nie znający ich trudu zazdroszczą, że doktor pracuje zaledwie czwartą część roku, a inni męczą się przez całe sześć miesięcy, pozostałe natomiast spędza na urlopie albo w pokojach snów, nie każdego na nie stać, ale jak tu wytłumaczyć prostactwu tę konieczność biernego odpoczynku, oczyszczenia oddechu z zarazków, złośliwych drobin piasku, tak, one naprawdę są utrapieniem naszego okręgu, powodują latem tyle chorób płuc, a jesienią i wiosną, kiedy nie jest już tak gorąco, by trzeba koniecznie ubierać buty, chroniąc stopy przed rozpalonym brukiem, ludzie ulegają pokusie chodzenia boso i potem nie mogą już wyzwolić nóg z naturalnych kajdan, pot i ciepło człowieka kuszą piasek, który syci się ciałem i staje się nim równocześnie. Ilu to podczas praktyk widziałem takich ludzi z piasku! Na ciężkich kamiennych łóżach oddziału dla chorych na piasecznicę pulsowali ziarenkami, a te ponownie opadały na swe ofiary, nie tracąc ani na chwilę kontroli nad przemianą. I najbardziej dziwiło mnie to, iż owe osypujące się posągi chwilami odzyskiwały możliwość ruchu, wstawały i połyskując złocistymi twarzami, pokornie odbierały talerze z zupą, choć obiad nie był im już do niczego potrzebny.

Ale co mi tam pory przejściowe! Pozostanę wyłącznie przy jednej, ojciec popełnił błąd, starczy na jakiś czas omyłek w naszej rodzinie. I zapłacił najwyższą cenę za całoroczne czuwanie. Przy nas. Przy swoich najbliższych.

Ciotka Maria i o tym pamięta, ciotka Maria umie korzystać ze zdolności swego umysłu. Oto ustawia w kolejce pierwszych moich pacjentów, grupując ich według wstępnej diagnozy. Z poczekalni dobiegają odgłosy zniecierpliwienia. Inny może by się przejął, ale nie ja!

Pałilem cygaro i popijałem wytrawny wermut, zalecany lekarzom jako najlepszy środek profilaktyczny przeciwko zakaźnym oddechom pacjentów. Cygaro należało oczywiście do tych najmocniejszych, z dodatkiem sproszkowanej skorupy orzecha maio, którym straszy się u nas dzieci. Owoc ten ma żywić się jadem żmij, wabiąc je ciągłymi zmianami kształtu jak ptaki-zabawki z baśni o kapryśnym biskupiątku.

Całe moje pokolenie zaśmiewało się z tej historii opowiadanej przy ogniskach, które mimo zakazów paliliśmy w lesie podczas wagarów, najczęściej uciekaliśmy zresztą z lekcji religii. A potem kolejny rząd zakazał księżom pouczających, wielce moralnych przemów i nie wiedzieliśmy już, co dobre a co złe, może wcale nie chcieliśmy tego odróżniać, tylko tak sobie siedzieć, wpatrując się w ogień, przepowiednia głosi bowiem, że pewnego razu lato się nie skończy, tylko z dnia na dzień będzie coraz goręcej, a ludzie spłoną, zapalając się jeden od drugiego. I chyba gdy usłyszałem tę groźbę po raz pierwszy, zapragnąłem przeciwstawić moje skromne umiejętności ogniowi południowego słońca, wszakże lekarze będą najbardziej potrzebni owej krytycznej chwili, od nich dowiedzą się mieszkańcy naszego zakątka, jak się ochłodzić, ujarzmić rytm krwi, aby przetrwać następny dzień. I póki tylko gwiazdy nie przestaną się obracać, kierując ku nam przez pół dnia swą chłodną stronę, medycyna będzie miała szansę ocalić najsilniejszych bądź posiadających potężne agregaty chłodnicze. Myśląc o tym, z dumą spojrziałem na kabinę lodową w moim gabinecie. W krytycznej sytuacji mogło zmieścić się w niej dziesięć osób! Stłoczonych jak śledzie w puszcze, to prawda, ale za to pewnych, że przetrwają południe. I cudnie do siebie przymarzających...

Cygaro wypaliło się dokładnie o dziewiątej. Postanowiłem rozpocząć pracę. Gdzieś wewnątrz siebie słyszałem jeszcze tajemny śpiew maio, który poznają tylko szczerze oddani orzechowi, kiedy zadzwonił telefon. Ośrodek epidemiologiczny! Kazano mi przedsięwziąć szczególne środki ostrożności, ponieważ rozpoczynała się właśnie epidemia złośliwych przeziębien wódką. Po odłożeniu słuchawki gwizdnąłem na palcach i znów nalałem sobie zielon-

kawego wermutu, nie był to nawet drink, szklanekę do połowy wypełniały duże kostki lodu. Prawie woda. Ale jaka! Sterylna, oczyszczona przez mikrofałę nowoczesnej kostkarki, pachnąca ziołami i owocowym ekstraktem, prawdziwy napój bezpieczeństwa.

Zapaliłem nad drzwiami zielone światło i powoli zaczęły wpełzać chwiejnym krokiem, pojedynczo i małymi grupkami, ofiary zakażonej wódki. Znałem przebieg tej choroby z wykładów, wiedziałem więc, że przeżyje tylko jedna na dziesięć dotkniętych tym nieszczęściem osób. A w ogóle jak latem można pić wódkę, skoro mnożą się w niej monstria, mikroby wyjątkowo perfidne; potrafią zagnieździć się w oczach i powodować swędzenie nie do wytrzymania, człowiek trze powieki, dopóki nie wypłynie spod nich galaretowata maź; niektórzy fachowcy zwą te objawy oczotokiem. Epidemia pozostawia na utrzymaniu władz miejskich zazwyczaj kilkuset ślepców, szczęściem nie wybucha co roku. Wolno im chodzić tylko specjalnie oznakowanymi ulicami, aby nie powodowali wypadków.

Stawiałem diagnozy seryjnie, nie było po co badać tych trupów; usłyszawszy wyrok, kłaniali się grzecznie i szli do okienka zapłacić oraz odebrać receptę na jedyny lek przeciw tej chorobie – nalewkę z kwiatów dopiero co zakwitającej cytryny. Podejrzewam, że jego skuteczność zależy od tego, czy płatki oberwano we właściwym momencie, dlatego chorzy nie mają równych szans – jeden dostanie genialnie przyrządzoną ampułkę, inny zwyczajny kwiatowy soczek. Jakby tu rozpoznać, które szkieleto zawiera substancję dającą nadzieję? Gdybym znalazł sposób eliminacji nie działających ekstraktów, zostałbym najbogatszym lekarzem w okręgu. Co tam lekarzem! Krezusem, który nie musiałby gnać do pracy starej ciotki i przyjmować setek dzieci chorych na katar morski.

Na szczęście ta uporczywa i przewlekła choroba aż w pięćdziesięciu procentach przypadków daje się wyleczyć. Zalecane jest płukanie nosa gorącą wodą z pieprzem oraz wdychanie tarsu, narkotyku z kory bananowca. Dzieciak natychmiast się uzależnia, a ponieważ nałóg powstał jako uboczny skutek choroby, małałat otrzymuje potem dożywotnią rentę państwową i rodzice nie muszą już troszczyć się ani o szkołę, ani o przyszłą pracę. Czasami jednak tars nie działa. Następuje wtedy odwodnienie organizmu, przez nos wypływa coraz intensywniej gęsta ciecz zmieszana z krwią, stopniowo wymywając potrzebne do życia pierwiastki. Do pewnego momentu można ten proces powstrzymać, dostarczając choremu brakujące substancje. W końcu staje się to niemożliwe, katar przemienia się w rwący strumień i nawet podłączone do pompy nawadniającej dziecko umiera.

Pierwszego dnia miałem zaledwie dwa przypadki kataru morskiego, spodziewaliśmy się więc z ciotką, że zgromadzony w piwnicy zapas pieprzu nie zostanie w tym roku sprzedany. Maria pocieszała mnie jak mogła. Ten towar nie psuje się w suchym miejscu, nasza piwnica jest ogrzewana przez cały rok, gdybyś kupił sto kilogramów tarsu, to dopiero byłby kłopot, mówiła, podając kawę. I miała rację. Mój konkurent zainwestował w gąbczasty, sublimujący w zetknięciu z powietrzem narkotyk, spotykany tylko w naszym regionie i ponoć gdzie indziej nie działający, złożył towar w wilgotnym pomieszczeniu, więc słabe, nieszczelne opakowania puściły i nie dość, że gość stracił wszystkie oszczędności, to miał jeszcze kłopoty z prokuratorem, bowiem pilnujący paczek portier zapadł na bezsenność tarsową, która dotyka człowieka zazwyczaj dopiero w ostatnim stadium uzależnienia. U dzieci objawia się niewiarogodną aktywnością. Chcą pracować, uczyć się, zmywają naczynia i wynoszą śmieci, pucują mieszkanek, a społeczeństwo mówi im: spokojnie, oszczędzajcie siły na umieranie, to też wysiłek. Staruszek przeraził się tych objawów, zachciało mu się jeździć na rowerku z czterema kółkami, takim cudeńku elektronicznym, kupił więc sobie ów sprzęt na raty i zamiast pilnować firmy, wystartował w miejskim wyścigu dla dzieci. Powiadają, że zajął trzecie miejsce i w nagrodę otrzymał pięciokilogramową czekoladę. W każdym razie jeśli tak było, miał dziadek szczęście, kakao wszakże stanowi doskonałe antidotum na zatrucie tarsiem. Spożywane w dużych ilościach, po pięć do dziesięciu kilogramów dziennie, wyroby czekoladowe potrafią zahamować rozwój choroby i dziecko czuje się znakomicie, może nawet co parę dni

przespać się godzinkę lub dwie. Jaka to ulga dla rodziców! Przychodzą do lekarza, który zapisał dajmy na to bezmleczne kakao, z kwiatami, winem, a czasem też z dodatkową kopertą. Szeleści w niej miło numerowany papiererek...

I z samej czekolady można ciągnąć zyski. Już pierwszego dnia odwiedziło mnie kilku akwizytorów. Jedni proponowali pieniądze za samo używanie mego nazwiska w programach reklamowych lub drukowanie go na opakowaniach drażetek i baloników, drudzy procent od wzrostu sprzedaży, gdybym przekonał rodziców zarażonych dzieci, by kupowali właśnie ten a nie inny wyrób, tej a nie innej firmy, w tym właśnie doskonałym opakowaniu. Przejrzałem reklamówki, przyjąłem prezenty i obiecałem zastanowić się do przyszłego tygodnia, którą ofertę wybiorę. Maria przez całe popołudnie opychała się czekoladą i gdy wypuszczałem kolejne grupki pacjentów, wpadała do mnie na wermut, żeby popić słodkości.

W prywatnej części domu zbierała się już rodzina, słyszałem odgłosy przygotowania obiadu. Nie jadłem śniadania, więc trochę mnie skręciło w żołądku, zaburczało w brzuchu, jakby miała nastąpić burza jelit, wreszcie przy pacjentach oczekujących na recepty odbiło mi się obrzydliwie żółcią, przeprosiłem więc grzecznie i wpuściłem do gabinetu mężczyznę jęczącego niczym syrena karetki pogotowia. Wiedziałem już, co mu dolega. Najtrudniejszy letni problem!

Poprosiłem faceta za parawan i omal nie zbaraniałem. Jak on mógł to wytrzymać! Letnie zapalenie prącia w zaawansowanym stadium, organ napuchły jak menstrualnych rozmiarów parowa, czerwony i spękany, jakby jego właściciel trzymał swój skarb w kuchence mikrofalowej albo smażył na patelni. Ale się zaniedbał! I jeszcze mi wmawiał, że z pewnością zaraził się od pewnej dziewczyny, która mieszka po sąsiedzku i chętnie świadczy majątnym i rozrzutnym panom usługi miłosne, ale położyłem stanowczo kres temu gadaniu, jakim prawem taki prostak podważa moją diagnozę, do czego to podobne, wrzeszczałem, więc typek spokorniał i zapytał cicho, czy ma szansę z tego wyjść, a ja zgodnie z mą wiedzą zaleciłem wszelkie zabiegi i środki znane współczesnej medycynie: płukanie w occie, namaszczenie kremem z naturalnego piżma oraz nakłuwanie srebrnymi igielkami, modne raczej wśród socjety niż skuteczne. Do wieczora obejrzałem jeszcze kilku takich nieszczęśników i każdemu z osobna musiałem tłumaczyć, że za tę epidemię ponoszą winę nie kobiety, ale wylęgające się w wodzie pod wpływem zimna mikroby, toteż najbardziej przyczynia się do zakażenia sam chory, nikt nie każe mu bowiem pić chłodzonej mineralnej, każdy może w trosce o zdrowie zagrać ją sobie na maszynie, uleciałyby bąbelki, to prawda, ale profilaktyka jest najważniejsza, żaden letniarz temu nie zaprzeczy.

A te zmysłowe kobietki, które pływały w morzu bez osłony specjalnym żelem, zlekceważywszy radiowe ostrzeżenia, zaoszczędziły, to prawda, ale tysiące z nich zachorowało na kwitnicę bezbolesną. To najłagodniejsza z letnich przypadłości. Ciało dziewczyny pokrywa się najpierw wielobarwnymi pąkami, jakby były to nieskończone zwoje koralu i koralików. Otwierają się po mniej więcej dwóch tygodniach i wtedy płatki, niczym nanizane na drogocenne łańcuszki kwiatowe korony, falują na rękach, nogach, piersiach...

Niektóre kobiety wabią mężczyzn na tę kolorową i aromatyczną dekorację, inne zakładają szaty kryjące całe ciało, białe płaszcze z kapturami, to zwyczaj prababek, bardzo skuteczny, pozwala przeczekać kwitnienie, które zanika samoczynnie wraz z pierwszym przymrozkiem. Płatki kurczą się, schną i opadają, nie pozostawiając blizn. Jeszcze inne, najczęściej prawdziwe damy, szukają pomocy u lekarza. Chwalę je wtedy za to, że nie wyszarpały nawet paru listków nożem lub pincetą, oszpeciłyby się w ten sposób, gdyż na miejscu nieumiejętnie usuniętego płatka mogą wyrosnąć olbrzymie pulsujące brodawki, które wpełzają pod naskórek i wędrują po ciele, dążąc ku twarzy. Tam zbierają się jakby na naradę, a ponieważ też nie są odporne na zimno, zbliżają się do siebie jak tylko potrafią, póki jeszcze trwa lato, tłoczą się na policzkach, by w krytycznym momencie wybuchnąć krwawo, rozsadzając tkanki. Wysłuchawszy tej opowieści, moje pacjentki przestają marudzić i poddają się wszelkim zabiegom,

które wykonuję sam, oczywiście z braku wykwalifikowanej pomocnicy. Ciocia Maria zemdlalaby na sam widok, jak porażam kwiaty stężałym lodem, trzymając kulkę w specjalnych szczypcach, po pierwsze dlatego, że nawet w rękawicach chroniących przed zimnem nie czuję się zupełnie bezpieczny. Letniarz musi chronić ręce przed radykalnymi środkami, podczas pracy jest przecież ciągle narażony na uboczne skutki ich oddziaływania.

Wykładowcy nie raz ani dwa straszili nas przemrożeniem paznokci, które mogą poczernieć i odpadać bolącymi kawałami, ciągle przypominali o częstych zatruciach piżmem i absolutnej obstrukcji po spożyciu nadmiernej ilości czekolady. Zapomniałem ostrzec ciotkę Marię przed zgubnymi skutkami nadużywania łakoci i po tygodniu pracy musiałem jej zrobić lewatywę z naparą szczawiowego, wstydziła się kobiecina łakomstwa i zaklinała się, że nigdy nie weźmie do ust najmniejszego choćby balonika ani czekoladowego jajka. Nie sądziłem, by dotrzymała słowa, choć narzeczonemu sprzed lat bywała wierna w parzyste dni tygodnia, co skrętnie odnotowywała w pamiętniku. Kiedy zabrakło mi nowych książek do czytania, przejrzałem ów brulion, tajemnice starych panien pociągały mnie od dzieciństwa bardziej niż filmy pornograficzne dla początkujących, zapisałem kiedyś w notesie tę myśl i cieszyłem się, że też potrafię być dowcipny, mógłbym układać zgrabne historyjki; szkoda, że nie wolno u nas zmieniać zawodu, musiałbym zapłacić prezydentowi odszkodowanie i wtedy do końca życia nie wyszedłbym z długów. Albo pewnego dnia przyszliby po mnie smutni cywile i po mój kres musiałbym służyć rządowi jako lekarz więzienny czy sądowy.

Na myśl o tych represjach omal nie wymroziłem pacjentce zdrowego kawałka skóry, lecz w porę cofnąłem rękę. Dziewczyna nie zauważyła mego błędu i ufnie przeciągnęła się na fotelu zabiegowym. Musiałem znów łyknąć wermutu, nim przystąpiłem do najbardziej delikatnej części operacji. Należało usunąć kwiaty z górnych powiek, gdyby bowiem na nich pozostały, zrosłyby się z kwitnącymi pod oczami i aż do późnej jesieni młoda osoba byłaby pozbawiona wzroku. Kwitnica rzadko atakuje oczy, umiejscawia się raczej na dłoniach, nogach, tułowiu, policzkach. Bywa niebezpieczna, kiedy wpłźnie do ust albo innych otworów ciała. Jeśli dostanie się do nosa lub gardła, można ją jednak wyleczyć, wprowadzając lód przez odpowiednie wzierniki albo wstrzykując zmrożone drobiny we właściwe miejsce. Nie każdy pacjent chce zgodzić się na te bolesne iniekcje; dostając się pod skórę, kruszyny lodu szczypią, palą, niektórzy chorzy porównują ich wędrówkę do porażenia niezbyt silnym prądem, takim, który nie zabija, ale drażni do granic wytrzymałości.

Był dopiero pierwszy dzień lata, a już miałem dość. Przed bramą domu koczował jeszcze spory tłumek; gdy kazałem ciotce Marii ogłosić przerwę na kolację, złowieszczy szmer przedarł się przez dźwiękoszczelne żaluzje i drzwi.

Wiedziałem, że tej nocy nie zmrzę oka. Ani następnej. Będę, jak wszyscy letniarze, przespiał poranki, wzięwszy garść wzmacniających pigułek i pod koniec sezonu, kiedy zdejmę z drzwi tabliczkę i ułożę się do prawdziwego lekarskiego snu, wszyscy będą mówili o mnie z litością, nawet ci, którzy zazdroszczą mi teraz wpływów gotówki.

A kiedy będę śnił, ciotka Maria, moja opiekunka, troskliwie nastawi jedną po drugiej płyty z muzyką wnikającą tak głęboko, jak daleko sięga moje Ja i zobaczą obrazy widzialne w najsilniejszej hipnozie, filmy o jesieni, zimie i wiosnie. Wszystko po to, abym był gotów w porę do pracy i nie obawiając się upału, walczył z zakwitaniem ciał, epidemiami i zmęczeniem, najcięższym z wszystkich schorzeń.

BIAŁY MNICH

Dziś rano tańczył w doniczce pelargonii, niby ostrzegając przed czymś albo przed kimś, może tylko zwodził, lichy go wie. Ukląkł na liściu, odłożył pastorał i szukał wzrokiem moich oczu. Wewnątrz mnie coś szeptało, że jeśli Mnichowi uda się ta sztuka, oślepnę i już nigdy nie napiszę listu do przyjaciela.

Gdybym go miał, nieważne gdzie, może i na końcu świata, mógłbym opowiedzieć o walce, którą toczę codziennie i przerywam w idealnie remisowej sytuacji; mój przeciwnik ukrywa się gdzieś w zakamarkach pokoju, skąd może znienacka zaatakować, gdy jestem bezbronny, nagi albo senny, kiedy jem lub palę papierosa. Nie zbliża się do mnie na tyle, abym mógł złapać go za poły białego habitu i rozpocząć zapasy; w ogóle unika wszelkich cielesnych sposobów walki, zdając się na siłę intelektu.

Podejrzewam, że pomieszkuje w telewizorze, żywiąc się jego wnętrznościami, niekiedy pojawia się na ekranie, uśmiecha się i jakby z przyzwyczajenia błogosławi na cztery strony świata, ale mam wrażenie, że ta słodka mina i gesty wyrażają raczej przekleństwo. Jestem mu poddawany jak próbie ognia, do której przywykłem i przestałem na nią reagować.

Człowiek to stary, prawie całkiem łysy, widzi za to świetnie, bez okularów czyta z odległości kilku metrów moje powieści, choć mam nadzwyczaj drobne pismo. Nie przerywa mi, o, nie, czeka aż skończę zaplanowany rozdział i dopiero wtedy namawia, bym go spalił, nie powodował szkody w umysłach czytelników, ja, pisarz niemoralny i potępiony za same pomysły. Powinienem się ukorzyć, zrezygnować z tworzenia i odbyć pokutę, tak twierdzi, publicznie wyznać, że nie miałem racji.

Skądś znam ten ton, droczę się więc z Mniczem, obiecuję poprawę, by zyskać na czasie. Ku zgorszeniu bielasa nadal pisuję, leżąc na boku, choć to podobno szkodzi na kręgosłup. Wysoko postawiona poduszka zasłania notes od strony okna, aby więc mnie podglądać, Mnich musi trenować sztukę lewitacji i wisi pod sufitem tak długo, póki nie znudzi mi się dręczenie papieru w linię. Nabrałem bowiem złych nawyków i zrezygnowałem z czystych bloczków, chcąc panować nad objętością tekstu i dostarczać wydawcy tomy złożone dokładnie z piętnastu arkuszy. Tym samym nie sprawiam kłopotu moim bohaterom, nie rozciągam nadmiernie akcji, więc nie nudzą się w swoich łózkach; oczywiście opis funkcjonowania tych mebli przedkładałem obecnie nad obraz innych przedmiotów powszechnego użytku.

Tak, święty człowieku, obaj chcielibyśmy uciec czasowi do lat młodzieńczych; ty, żeby popołować na czarownicy, gdy łowy te były zabronione, miałbyś satysfakcję z zakazanej zabawy, hej!, hej! Ja, by wciąż nie radzić sobie z epicką formą, groteską i paranoją, wciąż drzeć zapisane kartki i rozpoczynać opowiadanie od nowa.

A może tylko podlewać kwiaty w ogródku, kiedyś lubiłem patrzeć, jak ziemia pochłania wodę i marzyłem, aby nią być, ale to niemożliwe, mężczyzna nie nauczy się tej kobiecej roli, nie mogłem więc przemienić się w czarne, urodzajne grudy, pozostałem prochem w kryształowej popielniczce, a patrząc na twój płas wśród liści, Obserwatorze, przekonałem się, że myślisz o tym samym i nie są ci obce moje pragnienia, boisz się tylko z wysokości ekranu zejść do mego zakurzonego kąta. Ale mam pomysł, jak cię tu sprowadzić. Zostaniesz moim bohaterem.

Nie, nie poświęcę ci stylizowanej biografii ani dydaktycznej powieści dla dorosłych dzieci; wystarczy opowiadanie nieskładne i bez dialogów, zapis biernej obserwacji kwietnego płasu. Nie będę walczył twoimi metodami i opisywał sekretów życia intymnego, żeby podkreślić męskość, fotografowałeś się niegdyś przy goleniu, ale to takie niewinne, co innego zrzucić publicznie nieskazitelnie białe ubranie albo opowiedzieć ludziom o minionym pożądaniu. Czemu nie, skoro przychodzi się do innych o każdej porze i bez zaproszenia?

Jestem tylko ubogim pismakiem, mieszkanie nie należy do mnie, więc nie mam prawa wyrzucić cię za drzwi, sam mogę w każdej chwili zostać eksmitowany, ja, przemarznięty lokator spod strychu.

Wzięłeś się ostro do gry, przyznaję. Czy jest jeszcze na Ziemi miejsce, którego nie kupiłeś słowami, tak łatwo się ich uczysz, którego nie połknąłeś w grymasie ust?

Wiem, że nie odpowiesz, wybierasz starannie szczęśliwców, łaski im udzielasz, ja zasłużyłem tylko na gniewne spojrzenia i godzę się na to, poznaj prawdę, nie umiałbym kłamać nawet tobie, choć jesteś mistrzem znaczeniowych przesunięć, kiedy wznosisz głos wysoko, chcąc zachwycić małych tej Ziemi, no i robisz wiele, bym stanął między nimi ze spuszczoną głową, w jasnym letnim garniturze, a wtedy ty zdecydowałbyś, czy świat może mi wybaczyć.

Nie będzie spowiedzi. Jestem winny i nie żałuję. Zejdź teraz z okna, zasłaniasz mi widok na targowisko, a powiniennem wiedzieć, ile kosztuje dziś mężczyzna, ile kobieta, woda do mycia znużonych kolorami, a ile złudzenie, że posiada się duszę. Przefiltrowany przez twoją szatę świat to bazgroły pastelowymi dziecięcymi kredkami. Nie takimi barwami uczyłem się malować niebo! Śni mi się granatowoczarne w ogniach nocnej burzy, gdy przewiązujesz oczy opaską, abym nie widział strzelających do mnie tłumów. Niepotrzebnie się wysilasz. Naboje rozkradzione, proch zamókł na deszczu. Topory zbyt brudne i ciężkie dla twoich katów. Spiesz się, bo zdążę napisać moją opowieść!

Jak tu zacząć? Historia Mnicha, który chciał zostać bogiem? Ale on nie przypomina starożytnych cesarów. Ich radosne ubóstwienie nie wystarczyłoby temu człowiekowi, nie mógłby tak po prostu stanąć w rzędzie wszechmocnych potęg jako jeden z wielu, on musi być Jedyny i najpotężniejszy, decydować o wszystkich ludzkich sprawach, udowodni więc posłannictwo, zakwitając w oknach tych, których należy unicestwić.

Mam! Jest jeszcze młody, pisze książkę i wydaje mu się, że zostałem jego bohaterem, kiedy tymczasem dzieje się odwrotnie, to oczywiste, bo właśnie ja czytałem już jego wynurzenia, a on jeszcze mnie nie skrytykował. Albo inaczej, bardziej podniecająco: dopiero co trafił na mój ślad, rozesłał szpiegów, węszy, marszczy czoło, rozgłasza, że nie umknę, mimo że nie zna nawet mego imienia, oskarża o całe zło świata i grozi mi rozesłaniem fotografii po wszystkich świętych miejscach.

I ja miałbym być groźnym przeciwnikiem?! Leżę w brudnej pościeli, nie mam już na lekarza i udaję spokojnego skazańca, nie mam tylko pewności, kto mnie postawił przed trybunałem natury.

Tyle mówisz o wolności, upajasz ludzi tym słowem, mamisz, że niby twój taniec wyzwolonego bóstwa kwietnego zaszczytu burzy mury i jednoczy, a równocześnie zaciskasz wokół obręcz zakazów, których i tak nie posłucham. Czuję się zaszczycony nowymi oskarżeniami, proszę, rozgłoś, jaki jestem bezbożny, jakie to nowe sodomie wymyśliłem dla moich bohaterów. Niech będzie, że tylko po to, by ludziom dać zły przykład. W twoim wykazie pojawi się nowa specjalność, szczególnie ciężko karana przez bóstwa wszelkich kultur.

Co takiego mógłbym uczynić, żebyś uznał mnie za najbardziej godnego potępienia? Z całą odpowiedzialnością swej władzy nad człowiekiem, jeśli w nią naprawdę wierzysz, z całą nienawiścią, jaką dyktuje ci poczucie własnej świętości. Wiem! Pokocham mego bohatera i będę pytał wszystkich ziemskich potęg, jak go ożywić, stworzyć cielesnie, a potem wpiszę siebie w tę książkę, skłamię, że jestem szczęśliwy, zaspokojony w pożądaniu i tworzeniu. Kiedy mi uwierzą, pozazdroszczą, obojętnie w którym ze światów, będę mógł odejść, wmówię czytelnikom bajeczkę, piękną złotą legendę, iż rozstaję się z nimi i wszystkim równocześnie, żeby nie stracić tej chwili, utrwalonej już i przeżytej, zamieszkać w niej sobie pod fałszywym imieniem, bo czyż sam nie dowiodłeś urody kłamstwa uściskami dłoni?

Trzeba słów! Znalazłeś już formułę najcięższego potępienia, dumnie krzywisz wargi, co cię jeszcze powstrzymuje? To, że sam rozwiązałem zagadkę, jak się ze mną rozprawić? Nie? Wiem już! Odwlekasz chwilę ataku, sposób znany to w dziejach zwierząt i więzień, tym trud-

niej godnie przyjąć egzekucję, im dłużej ją odwlekają, czyniąc nadzieję na jeszcze jeden dzień, może następny...

I w celi śmierci można żyć, żadne to odkrycie, obliczasz moją wytrzymałość i uderzysz, kiedy nie będę się spodziewał. A gdybym i tym razem się obronił, wyśmiał tę całą historię, zaprzeczył, że chciałem umrzeć i sprowadził sobie dziwkę z przedmieścia, taką niewyszukaną, prostacką, której niewiele potrzeba, ot, papierosy, tandetna wędlina, może ciepła wódka, patrz, lodówka mi wysiadła, słaby asortyment, luksusowej dupy nie kupię, wiesz, że mnie na to nie stać, zostanę więc chyba z tobą i naszymi rozmowami.

Dlaczego nie wychodzi mi to opowiadanie? Może jeszcze w ciebie nie uwierzyłem, jesteś zbyt papierowy, choć całujesz płatki kwiatu, nucąc drażniącą modlitwę, monotonna melodia zagłusza moją opowieść, pewna swej wieczności jak przemijania, ucieczki w siebie przed obławą, którą może już ogłosiłeś. Nie uprzedzisz ofiary, doskonały taktyk!

Ale to tylko ludzie dali ci strój i władzę, wynaleźli powołanie. Tyle masz dróg zwycięstwa, że aż cierpnę na myśl, jak marne są moje szanse. I nie znam sekretów twojej broni, wciąż muszę domyślać się pchnięć! Może zejdziesz na ziemię, nie, powiedziałem, na tę posadzkę milczenia, tu gdzie rano dusi mnie kaszel, tu... przed doniczką pelargonii.

Mimo wszystko jestem pewien, że każdy, absolutnie każdy, posiada swego białego mnicha.

POLOWANIE NA LISA

- Mamo, obiecałaś opowiedzieć o Panu Lisie!
- Może nie dzisiaj. Jutro. Albo w niedzielę, kiedy i Tata będzie miał czas.
- Na co nam do tego Tata?
- On też zna Pana Lisa.
- Wiem. Ale dlaczego o nim nam nie mówi?
- Ma dużo ważniejszych spraw. Słyszałam zresztą, jak nieraz poruszaliście ten temat.

Matka wstała z kanapy, lekko odepchnąwszy syna. Odczuwała coraz mniej przyjemności, gdy brała go za rękę albo siedziała obok niego podczas oglądania telewizji. Jakby mijający czas coraz bardziej rozciągał między nimi przestrzeń, tworzył przepaście na kształt fantazyjnie rozpostartych klatek schodowych czy kalekich, bezdennych wind. Niespełnione rojenia o domku z ogródkiem i córce pracownicy wywijającej szydełkiem na ganku wyrażała czasem ową niemą niechęcią wobec najbliższych, którą oni brali za zmęczenie lub objaw nieuchronnej pod koniec miesiąca kulminacji zmartwień. Kryli się wówczas w wyznaczonych im kątach mieszkania, mąż za gazetą z setkami podniecających ogłoszeń; ile to burdeli proponuje miasto, a jego nie stać na jeden wypad, może gdyby dostał premię o nietypowej porze roku, z okazji imienin żony szefa albo dobrej koniunktury, ale na to nie ma co liczyć; syn natomiast w klitce szumnie nazywanej jego pokojem, w którym tak naprawdę mieszkała także Giselle, suka przypominająca ogromnego owczarka, wyraźnie jednak skundlona, zawsze gotowa prezentować objawy urojonej ciąży przy gościach czy na progu łazienki, kiedy chłopak chciał koniecznie zamknąć drzwi od środka, aby nikt nie przeszkadzał w czasie kąpieli, dlaczego niby miałby zmarnować znakomitą sposobność obserwacji własnego ciała, jego dziwnych reakcji na ciepło, zimno i dotyk. W wodzie przebiegały one jakby wolniej i dlatego łatwo dały się zauważyć poszczególne fazy podniecenia, gotowości do ataku, satysfakcji wreszcie.

Tego wieczora Jean zdołał przechytryć białozółtą, jakby zawsze brudną samicę. Zamknął się w łazience i szybko uruchomił prysznic. Ale kiedy rozpoczął właśnie rytuał pieszczot i zamknął oczy, aby tym lepiej odczuwać przyjemność, matka zaczęła dobijać się do łazienki.

- Długo jeszcze?! – krzyknęła zniecierpliwiona.
- Spiesz ci się? – burknął i dodał: – Może dziesięć minut. Może godzinę. Dopóki będę czuł się brudny, nie wyjdę.
- Idę jutro do pracy!
- Chyba cię tam nie obwąchują!
- Jean! Przeziębisz się i będziesz musiał pójść do lekarza.
- Nieprawda! Wezwiesz doktora do domu. Jak poprzednim razem.
- Nie starczy nam pieniędzy na takie luksusy.
- Strasz sobie Tatę!
- Jean! Ustępuję, słyszysz? Opowiem ci bajkę...
- O Panu Lisie?
- Tak! Tylko wreszcie wyjdź stamtąd!

„Cholera – pomyślał chłopiec – jakby wiedziała, co ja robię, potrafi prześwietlić ścianę łazienki swymi błękitnymi szparkami”.

On sam odziedziczył po ojcu czarne, okrągłe gałki. Teraz Mama już nie wykręci się od opowiadania, usiądzie obok syna na tapczanie i poczeka, aż nadpłynie głęboki, zimowy sen.

– Zostanę w hotelu, będzie mi wygodniej – usłyszał jednak, gdy układał się na zbyt miękkim jak dla chłopca legowisku. Pierwsze rozczarowanie.

– Dobrze, mamó. Ustaw tylko lampę tak, abym widział te cienie na zasłonach. Wiele razy sam próbowałem je wywołać, ale mi nie wychodzi.

– Nie jesteś wróżką.

– A ty?

– Może...

Matka przez chwilę manipulowała przy nocnej lampie z kolorowym abażurem, który rzeczywiście zaczął droczyć się ze światłem żarówki i promieniami księżycy, nocnego natęta zza okna, łącząc te dwie jasności w plątaninę kształtów. Jean jest już za duży, żeby go tak zabawiać, ale jeszcze ten jeden raz, no i może w sobotę, bardzo się denerwuje, kiedy ojca nie ma w domu, wyobraża sobie różne niebezpieczeństwa jak pięć czy sześć lat temu, zaczyna się buntować, to jednak normalne...

– Czy wróżka musi być pewna, że nią jest?

– Nie wiem, Jean!

Coraz więcej dziwnych pytań. Co się z nim dzieje?

– Mamó, jeśli czarodziejce nie wychodzą wróżby z kart, nie działają zaklęcia... tak jak mnie zadania z matematyki. A w szklanej kuli wciąż tylko smętne obrazy. Nie widać przyszłości ani teraźniejszości, ludzi bliskich czy obcych. Tylko obraz Lisa. Tak jak przez chwilę na zasłonie, zauważyłaś?

– Nie. Chyba ci się przywidziało.

– Bałabyś się, gdyby tu przyszedł? – Chłopiec usiadł na tapczanie i ułożył poduszki tak, że opierając się o nie, mógł siedzieć i patrzeć na matkę. Pragnął widzieć każde drgnienie jej powiek, wyczuć najbardziej niewinne kłamstewko. W półmroku lepiej ją rozumiał, odkrywał słabości, które potem mógł wykorzystywać w pełnym świetle dnia, kiedy chciał coś od niej uzyskać. Atakował zawsze zniemacka i wygrywał. Lody, zabawki, menu obiadowe, ciastka i długie rozmowy przed snem.

– Nie przyjdzie. Bądź spokojny.

– Nie lubi cię?

– Bo ja wiem? Pewnie jednakowo wszystkich nienawidzi.

– Dlaczego? – zainteresował się Jean.

– Brakowało ci kiedyś jedzenia? Byłeś głodny? A widzisz! Pan Lis bardzo często cierpiał głód. W dzieciństwie i w młodości.

– A potem?

– Wywalczył bogactwo. Ale żeby najeść się do syta, musiał niszczyć innych.

– Innych lisów?

– Mówi się: inne lisy!

– Oj, mamó – chłopiec odrzucił kołdrę – nie mieliśmy przecież uczyć się gramatyki. Nie znoszę, kiedy naśladujesz nauczycieli.

– Postaram się o tym pamiętać. Masz rację, moralizatorstwo niszczy dobre bajki. Zniechęca do ich czytania. Współcześni twórcy baśni powinni pozbyć się kapłańskich nawyków. Tylko czysta baśń ma szansę. Mit, w którym wygrywa piękno jego konstrukcji.

– Nie wszystko rozumiem – przerwał matce Jean. – Czy z nowych bajek ma po prostu nie wynikać? Ani strach, ani sympatia dla postaci, zadowolenie czy inne przeżycia?

– Kiedyś pojmiesz wszystko – odrzekła i spojrzała na syna surowo. A może udawała tylko, że sposób opowiadania ma jakiegokolwiek znaczenie dla dzieci i dorosłych. – Nasze bajki są i tak zupełnie inne od tych, które czytasz w książkach.

– Są lepsze – potwierdził chłopiec.

– Ciągłe mi przerywasz i wprowadzasz nowe wątki.

– W przeciwnym razie nigdy nie doszlibyśmy do prawdy. Byłoby jak w szkole: nudno, systematycznie, pełno tabel, wniosków i wzorów. A na bajkę nie powinno się wypisywać recepty, tak jak chciałby pan doktor.

– Rozmawiałeś z nim o tym? – zdziwiła się matka. Tak, ostatnio lekarz domowy długo coś badał dziecko, a potem szybko wyszedł, jakby obrażony. Nie pokazuje się od trzech tygodni, choć dawniej lubił wpadać na kawę po drodze do domu. Nie był wprawdzie wzywany, wszyscy czują się nieźle.

– Oczywiście.

– I co powiedział?

– Że są ludzie... trudno mi powtórzyć tymi samymi słowami. Tacy, co mają jakby dwie dusze, jedną uporządkowaną i działającą według wyuczonych zasad, a drugą dziką, upartą, inną. I te pan doktor leczy w szpitalu, jeśli odkryje je w jakimś człowieku. Chciał też zapisać lekarstwo bajkom, które mi opowiadasz.

– Zdradziłeś mu naszą tajemnicę?

– Nie ja. Tata.

– Tak myślałam. Teraz rozumiesz, dlaczego nie możemy rozmawiać przy nim o Panu Lisie.

– Tata jest niedyskretny – podsumował Jean.

– Właśnie.

– Mógłby wygadać się Panu Lisowi, a wtedy on przyszedłby pod okno i stanął za zasłoną, żeby nas straszyc.

– Pan Lis nie ma czasu się z nami bawić! – burknęła matka bez przekonania.

– Widziałem go dziś bardzo wyraźnie.

– I jak wygląda?

– Wcale nie jak lis. Wysoki mężczyzna w rozciągniętym swetrze, chodzi pochylony, dużymi krokami, jakby się skradał. Ale ma zęby prawdziwego drapieżnika, różnej wielkości i kształtu, szczyrzy je groźnie, kiedy ojciec opowiada dowcipy. Mnie one denerwują, ale Pan Lis lubi śmieszne historyjki.

– Nigdy z nim nie rozmawiałeś!

– Nie musiałem. – Jean obrócił się na prawy bok. Lubiał zasypiać w tej pozycji.

– Ojciec cytował ci kawały Pana Lisa? – Matka oddychała szybko, wzburzona.

Zaczęła nerwowo skubać wełniane pokrycie fotela. Nitki wrzucała, mocno zwinięte, do kubka z ołówkami, starannie zatemperowanymi, najdłuższymi, jakie można było dostać w sklepach papierniczych. Chłopiec drżał z oburzenia. Jak ona może zaśmiecać należącą do niego przestrzeń kubka, którego zawartość z czasem powinna przemienić się w paletę barw, niedostępną za żadne pieniądze. Dotąd nie udało się bowiem Jeanowi nabyć satysfakcjonującego zestawu kredek. Brakowało odcieni błękitu, to czerwieni, to znowu większość barw okazała się bezużyteczna, gdyż nie potrafiła oddać tęczy, jaka ukazuje się po zamknięciu zmęczonych oczu, a tylko jej mieniących się złoceń agresywny cień. Nie zadowolił on wymagań znawcy barw wody, malinowych przeistoczeń, kiedy zgęszczony sok, wlany w grymasy cytryn albo mimowolne krwotoki pękniętych pomarańczy, pozwoli zbrunatnieć owej ekspansji blasków, ściąć się karminom w barwy spłowiałych piekieł z obrazów arcymistrzów.

Jean wybrał więc szarość ołówków, zmieniającą się zależnie od twardości grafitu, bogactwo ciśnienia, powrotów w koleiny papieru, mozolne ostrzenie, by dostosować grubość kreski do czarowania cieni, jak nazywał swą pasję. Skoro w domu nie pozwalano mu malować farbami, w trosce o czystość dywanów, obrusów i ścian, zastąpił kolory siłą, miękkością dotknięć i kreskowaniem przestrzeni papieru. Pocieszał się także tym, że szkice zajmują mniej miejsca niż obrazy, można włożyć wszystkie do teczki i uchronić przed krytycznym okiem ojca, który nie wiadomo dlaczego tę właśnie dziedzinę zainteresowań Jeana wyszydzał bez względu na nastrój i porę dnia.

– Tak, odpowiedział chłopiec po chwili milczenia. – Wiem też, że gdy Pan Lis opowiada dowcipy, pożerając pizzę, mlaskanie słychać piętro niżej. On lubi rozmawiać przy jedzeniu, prawda?

– Zgadza się. Ja i Tata także musimy jeść, bo zamawia pizzę i dla nas. Ale go nie naśladowujemy, nie! Przeżuujemy dokładnie każdy kęs, a to, co pozostaje, gdy Lis skończy, odkładamy na bok. Nie chcemy, żeby patrzył na nas łakomie, nie mając już nic do pożarcia.

– A kiedy stamtąd wyjdziecie, on pochłania te resztki.

– Możliwe.

Matka straciła ochotę do rozmowy. Niechby dziecko już wreszcie zasnęło, uwolniło od przebywania w pokoiku, w którym tak duszno i dziwnie; odnosi się wrażenie, że zawsze wisi tu w powietrzu grafit z ołówków, wdiera się do ust i nadaje ślinie gorzki, trujący smak. Chciałoby się pluć i pluć, a papierowa chusteczka w kieszeni już nie przyjmie więcej śliny, zwilgotniała od obrzydliwości, napęczniała, nadaje się tylko do wyrzucenia. Być może właśnie brak drugiej chusteczki w zasięgu matczynej ręki przerwie dziś bajkę, nie pozwoli zarysować nawet głównego wątku, a co dopiero kontynuacji i odgałęzień, przecież Pan Lis nie istnieje w próżni, ale wśród tysięcy stworzeń, dla jednych jest władcą, dla innych obojętnym meblem na drodze czy przeszkodą, którą należy prędko unicestwić.

– Nigdy nie przyłapałaś go na zjadaniu odpadków? – nalegał Jean.

– Nie. Przeważnie ma w teczce woreczek z kanapkami. Popija je jogurtem.

– Fu! – Chłopiec zatrząsł się pod kołdrą, jakby z zimna.

– Nie wystarcza mu ilość dodatków owocowych, więc miesza jogurt z konfiturami, przeważnie malinowymi albo...

– Mamo, to obrzydliwe! Zaraz zwymiotuję kolację.

– Mogę sobie iść.

– Nie! Zostań. Nie gniewaj się. Postaram się nie wyrzygać naleśników.

Jean złapał matkę za rękaw szlafroka, kiedy poruszyła się, jakby miała zamiar odejść. Wymyśliła ten gest, pewną i bezpieczną gwarancję posłuszeństwa syna, zanim skończył pierwszy rok życia. Wyjdzie do pracy na południe, na kilka lat, wyruszy na wczasy, tylko parę dni, ale tych najważniejszych, jak na przykład moment zdmuchiwania świeczek na torcie urodzinowym. Zostawi dziecko z ojcem albo z matką chrzestną, na którą chłopiec reagował płaczem, nie pozwalał się jej dotknąć i błagał, aby jak najrzadziej była zapraszana na uroczystości rodzinne. Dopytywał się za to codziennie, czy aby nie zdecydowała się przeprowadzić do innego miasta, bardzo ucieszyłby się takim obrotem sprawy; zgodziłby się nawet pisywać do tej bzdziągwy historycznej świąteczne kartki; doskonały to wynalazek taka pocztówka ze stajenką albo kolorowymi jajkami, pozwala zbyć ludzi dwa razy do roku nieszczerym życzeniem, no i wysyła się to wszystkim bez wyjątku, tak na wszelki wypadek, jakby dzięki temu udało się oszukać los, przekleństwa i magiczne formuły.

– Obiecałaś nie marnować jedzenia. Wiesz, jak nam z ojcem ciężko – próbowała zmienić temat matka.

– Nie musisz tego codziennie powtarzać. Lis wysysa z was siły, prawda? Tylko jak on to robi? Powinnaś mi opowiedzieć. Martwię się o was, kiedy jesteście u niego, nie mogę skupić się na nauce, co godzina dzwonię do Dziadka i pytam o różne rzeczy, a wy wciąż nie wracacie...

– Pan Lis pracuje do ósmej wieczorem, więc i od nas wymaga poświęcenia.

– Jest bardzo wytrzymały?

– O, tak! Jego gospodarstwo mieści się w dwóch budynkach, a on przez cały dzień biega między nimi, kontrolując wszystko, pomrukuje i warczy, węszy... właśnie to nas drażni! Lis czuje zapachy, o jakich nikt inny nie ma pojęcia, z woni potu pracownika potrafi wyczuć, czy ów wyeksploatował się już do końca, czy jeszcze posiada jakieś rezerwy, możliwości, które chciałby zachować dla siebie, na prywatne potrzeby, popołudnia i nocne szaleństwa.

– Nienawidzę go za to.

– Nie ty jeden. A wieczorami...

– Telefonuje jeszcze do nas do domu.

– Skąd o tym wiesz? – Matce drżał głos. Nie lubiła być zaskakiwana. Od pewnego czasu zdawało się jej, że syn świadomie chce ją przerazić, zwłaszcza podczas opowiadania bajek. Przerывał jej w momentach subtelnych wzruszeń, by pytać o sprawy obrzydliwe, fizjologiczne, aczkolwiek zawsze dotyczące postaci powstałych w wyobraźni. Tym razem żądał baśni z udziałem osób realnych. Wiedziała, że nie odmówi mu tej zabawy i to wcale nie wiedziona rodzicielską miłością, ale z ciekawości, jak się potoczą zdarzenia.

– Tata rozmawia z nim tak cicho, inaczej niż z Dziadkiem. I nie śmieje się do słuchawki, tylko ciężko oddycha, wyciera pot z czoła...

– Podsluchujesz pod drzwiami!

– A ty mnie podglądasz! – Jean zeskoczył z tapczanu na dywanik.

– Nieprawda! Ale zrobiłeś się wstydlivy. Jak dziewczyna!

– Nie! Tylko nie to! Nie chcę, byś porównywała mnie do bab!

– Gdyby nie pewna baba, nigdy nie ujrzałbyś światła...

– Znów to samo! – Niewiele brakowało, by chłopiec się rozplakał. Zaczął nerwowo przecierać oczy pięściami.

W takich wypadkach często odginała mu się nieznacznie dolna powieka i musiał długo potrząsać głową, by powróciła na swoje miejsce. Odnosił wówczas wrażenie, iż właśnie wylupił sobie oko i porównywał się w myślach do pewnego mitycznego króla, którego imienia nie pamiętał, a bardzo chciał sobie przypomnieć, żeby podpisywać nim szkice jako pseudonimem. Rysunki pozostawały więc na razie anonimowe i jakby tym faktem zakłopotane, żółkły szybciej niż powinny, przybierając brudnozłociste barwy rozkładu, ostrzeżenie dla piszących bądź rysowników, że im też przyjdzie zmieniać kolory w stanach przejściowych między życiem a umieraniem, formach wydętych, parszywych i gnuśnych, przed którymi biegli wojownicy codzienności uciekają w sen, a naiwni w muzykę lub nocne spacerzy; po zmroku nikt nie widzi, kto przemyka się pod domem ani w jakim jest stadium odejścia, ile siebie utracił, a co chroni ze wszystkich sił.

– Pan Lis ceni kobiety – odparła matka.

– Płaci im więcej niż mężczyznom?

– Nie zawsze, ale funduje wodę mineralną i mówi, kiedy jest w dobrym humorze... że jego firma dobrze stoi tylko dzięki paniom. Tak ładnie się wtedy wyraża.

– A kiedy jest zły?

– Grozi obniżeniem pensji wszystkim pracownikom firmy.

– Mówisz: firma, firmie! Jak się ta jego nora nazywa? – spytał Jean, głośno wycierając nos. Powinien stale zażywać krople przeciw katarowi siennemu. Zaniemógł jednak kurację, gdyż ów specyfik ma obrzydliwy smak, a nadto lubi tajnymi drogami wpływać do ust i osadza się na podniebieniu piekącą goryczą.

– Nie wiesz?! „Pan Lis”!

– Śmieszne. Dlaczego nadał fabryce własne imię?

– Żebyśmy wszyscy odczuli, jakim jest panem. Wszystko, co ogrodzone płotem, należy do niego, każda kartka papieru, ołówek, dźwięk pracujących maszyn. No i pracownicy... w jakimś stopniu.

– A dzieci pracowników? – Jean, zaintrygowany coraz bardziej, usiadł po turecku na tapczanie. W tej pozycji dobrze się szkicowało, przybierał ją więc także w innych sytuacjach, kładąc dłonie na kolanach tak, jakby trzymał blok i przyglądał się gotowemu rysunkowi niczym sędzia; zaraz będzie musiał podjąć decyzję, czy przedrzeć kartę, zgnieść ją ze złością, czy też odłożyć na nocny stolik, aby śnić wraz ze swym dziełem tę samą opowieść.

– Lubi straszyć, że nie da jeść naszym dzieciom, zagłodzi, gdybyśmy źle pracowali albo...

– I dzieci o tym wiedzą?

– Chyba nie. – Matka była coraz bardziej zakłopotana, ale nie potrafiła przerwać rozmowy ani skierować jej na boczny nurt, złagodzić znaczenia słów.

- Powinno się je poinformować. Mogłyby jakoś pomóc rodzicom.
- Jak?! – wyrwało się kobiecie.
- My też potrafimy, przynajmniej ja. Mówisz: Lis i Lis. Pan Lis. Na lisy urządzano kiedyś polowania. Z psami. Widziałem film, jakiś hrabia zastrzelił zamiast lisa żonę, ale nie wiem, czy umyślnie, bo przyszedł z pracy i wyłączył telewizor. Pomyślałem...
- Zaczekaj... – Matka wstała i sprawdziła, czy okno jest dobrze zamknięte. Zasunęła starannie story i dopiero wtedy rzekła: – Faktycznie, on lęka się psów!
- A widzisz! – Jean triumfował. – Boi się wielkich wilczurów!
- Nie! Blednie na widok wszystkich psów. Wszystkich.
- Ratlerków także? – Chłopiec zdjął z półki ciężki album przedstawiający wszelkie możliwe rasy psiego rodzaju. Przez chwilę przewracał kartki, poszukując dzielnych myśliwych, co towarzyszą człowiekowi tropiącemu ze strzelbą na ramieniu puszyste drapieżniki, wyszukują ich schronienia w piaszczystej, lekkiej ziemi gęstego lasu. Gdzie ludzie nie dotrą, ograniczeni wyprostowaną postawą, tam dokopie się ich sługa, czterema nogami oddany panu nawet na ból.
- Odpowiedź matki przebiegała się przez te myśli falami, domagając się reakcji na reakcję.
- Oczywiście. Te maluchy potrafią być bardzo złośliwe.
- Wytresuję więc sforę ratlerków. Sto, może więcej. Dziadek da pieniądze i co jeszcze będzie trzeba. Powiedz mu, że przez Pana Lisa jesteś nieszczęśliwa, cierpisz i nie śpisz po nocach.
- Nie mieszaj do tego Dziadka!
- Czemu? Chyba zaraz nie dostanie drugiego zawału. – Jean powiedział to z taką pewnością siebie, że matka roześmiała się i udała zainteresowanie albumem.
- Może kupimy ratlerka. Jeśli tata dostanie premię – obiecała nieśmiało.
- Chociaż parkę! Wyhoduję stado, zobaczysz. Zaszczujemy potwora za jego własne pieniądze. Zaatakuję znieca. Spokojnie wraca do domu, a tu nagle zza bramy wypada mnóstwo czarnych, ujadających wściekle ratlerków. Podniecone odpowiednim środkiem, otaczają ofiarę. Portier strzegący wyjścia zasnął, upiekł przeciw dla niego makowiec faszerowany aromatycznym relanium. Lubisz to lekarstwo, prawda? Dodajesz je Tacie do ciasta, pierogów i piwa, żeby choć w nocy odpoczął. Relanium migdałowe, rumowe, cytrynowe. Powinnaś to opatentować. Mielibyśmy za co urządzić święta.
- Nie lubię świąt! Pan Lis... – Matka umilkła. Przypomniała sobie widać coś bardzo nieprzyjemnego. Jean zmarszczył brwi, usiłując skojarzyć fakty.
- Wielkanoc, prawda?
- Tak. W zeszłym roku. Nie chciałabym przeżyć tego jeszcze raz.
- Co ci wtedy zrobił?
- Wyzwał, wygrażał, że mnie zwolni, a potem złożył życzenia. Tradycyjne, normalne życzenia. Z jajkiem i zieloną gałązką.
- Jak przy świątecznym śniadaniu?
- Takie same. Malarze kończyli właśnie remont biura i wszędzie panowało zamieszanie. Chcieli zaraz po świętach przenieść się do nas, ale Pan Lis powiedział, że być może nie będzie nas stać na odnowienie mieszkania. Zgrzytał zębami i grzebał w szufladach mego biurka.
- Ty mi tego nie robisz.
- Pewnie.
- Matka chwyciła syna za rękę. Przeszli na chwilę walczyć, koncentrując się na głównym wątku bajki. Wymieniali szeptem spostrzeżenia, jakby naprawdę ktoś stał pod drzwiami i podsłuchując tworzył własną opowieść. Może i rzeczywiście tam był, klamka poruszała się nieznacznie od czasu do czasu, klucz w zamku świecił, niespokojnymi mrugnięciami przebijając mrok.
- Ratlerki otoczą Pana Lisa ze wszystkich stron, będą go szarpały za nogawki, poły płaszcz...
- Jean, on rzeczywiście chodzi w płaszczu!
- Zielonym, wiem. Ciemnozielonym. Jak żołnierze. Ale on nie jest wojskowym.

- Naturalnie, tego by tylko brakowało! Ale jego spryt? Gdzieś go musiał wyćwiczyć. Nie wierzę, że zdolności dziedziczy się po rodzicach.
- Ja też nie. Byłbym bardzo tępy...
- I mniej złośliwy – dodała matka. – Sądziś, że ratlerki wystarczą?
- Jeżeli zbiją się w masę, stworzą potęgę.
- Taniej wyszłoby wytresowanie wilczura. Dwóch na wszelki wypadek.
- A jeśli Pan Lis zamknie się w samochodzie? – spytał Jean. – Przecież musi mieć piękny wóz, nie taki stary grat jak nasz.
- Ma! I biegnie do niego co sił, gdy portier wypuści wieczorem Rite...
- Rita? A to kto?
- Kundelek portiera, głuptasie.
- Raczej kundelka. Bo to dziewczynka, prawda?
- Suczka.
- Na to samo wychodzi. Jednemu przeciwnikowi Pan Lis umknie. Tylko sfora go osaczy, zaszczuje. Mam zresztą jeszcze inny pomysł. Można zapolować mechanicznie.
- Nie rozumiem. – Matka zaczęła się obawiać, że syn majaczy. Położyła mu rękę na czole, chcąc sprawdzić temperaturę.
- Daj spokój! – Jean uchylił głowę. – Kupię ogromną ciężarówkę. Z tych przeznaczonych na złom. W mglisty wieczór ustawię ją na poboczu trasy wiodącej do domu Lisa. A w odpowiednim momencie, zdalnie sterowana, pojawi mu się tuż przed maską, tak blisko, że najlepszy kierowca nie zdążyłby zahamować. Wypadek po pracy. Wypadek po pracy! – chłopak powtarzał jak zauroczony.
- Przestań! Nie mogę już tego słuchać!
- Gdyby można zaprosić widzów na to przedstawienie! Jak do teatru kukielkowego. Stałoby się w bezpiecznej odległości. Powiedzmy... wszyscy pracownicy Pana Lisa. Ale to nierealne. Ktoś mógłby go uprzedzić o niebezpieczeństwie, w każdej szkolnej klasie jest jakiś li-zus, to pewnie i tam...
- Nawet wiem, kto donosi Lisowi...
- Nie będzie więc publiczności, ale dzięki temu ta bajka, tak jak inne nasze bajki, pozostanie tajemnicą, nawet dla Taty, a kto zechce zapolować na Lisa, sam będzie musiał wymyślać sposoby. – Jean dumnie podniósł brodę. Był szczęśliwy, że zainteresował matkę pomysłem, który opracowywał od kilku dni.
- Lisy mają twarde życie – szepnęła.
- Ale lubią dużo jeść. Jeść i jeść. Pan Lis nie zauważył dodatkowej kanapki, jeszcze jednego kawałka pizzy. Pożre w niej trutkę na szczury, odpowiednio dużą dawkę...
- To nie jest dobry pomysł...
- I jeszcze popije koniakiem. Dwie trucizny mieszają się, palą wnętrzności. Pomyśl, jakbyś cieszyła się następnego dnia, gdyby wywlekano to ścierwo z nory, wywożono na śmietnik.
- Posłuchaj, w biurze jest pełno telefonów!
- Można je wyłączyć.
- Ludzie zauważą, kto to zrobił. – Matka niepokoiła się coraz bardziej. Czas mijał szybko, następnego dnia miała w pracy przygotować roczne rozliczenie podatkowe. Mąż wciąż nie wracał. Będzie bardzo zmęczona od samego rana. Kiedy oczy łzawią, łatwo się pomylić.
- I o tym pomyślałem. Wyhoduję myszy, które będą reagowały na kable telefoniczne jak na ser. Wystarczy wypuścić ze trzy takie zwierzątka...
- Jean, ja się boję myszy! Na samo słowo mysz skóra mi cierpnie...
- Nie krzycz tak głośno, Mamo. Pan Lis może usłyszeć i zapolować na ciebie. Wiele księgowych poszukuje pracy...

MATOWE OKNO

– Oczywiście, że mówię prawdę! Wspomagają mnie święte duchy przodków i Pan, ich strażnik wieczysty, który je uwalnia i wciela. Jestem wdzięczny, że mam pracę...

– Dobrze już. Jak to było z tym oknem? – zapytał oschle głos. Zgodnie z tradycją składający zeznanie nie widział twarzy sędziego. Świadkiem był strażnik w czapce z czerwonym trójkątem. Przy każdym zdaniu poruszał się niespokojnie.

– Siedzę na Krześle Prawdy, pod stopami mam Ziemię Prawdy. Nie potrafiłbym skłamać w takiej sytuacji. Ale to wszystko takie niezwykle...

– Chcemy znać fakty. Nic więcej.

– Zatem – zaczął ponownie strażnik, potężnie zbudowany, odrobinę teraz pobladły mężczyzna – otrzymaliśmy rozkaz...

– Raczej poufną prośbę – wtrącił się drugi, kobiecy głos.

– Ale... postępowaliśmy tak, jakby to było oficjalne polecenie. Zwykle nie odróżniamy w naszej pracy takich subtelności.

– Nie trzeba było robić wokół tej sprawy tyle huku – odparł zdecydowanie sędzia, a potem umilkł, widać nad czymś się zastanawiał. Długo nie zadawał następnego pytania, strażnik chrząknął więc nieśmiało, chcąc przypomnieć o swojej obecności.

– Mów, nie przeszkadzaj sobie – zachęciła go kobieta.

– A zatem... mieliśmy udać się po więźnia nad jezioro. Zazwyczaj przywożą nam skazanych na miejsce, więc pomyślałem sobie...

– Nieistotne, co myślałeś! Mów, jak wypełniliście misję!

– Przygotowaliśmy zaciemnioną karetkę, żeby...

– Regulamin zabrania pozbawiać więźniów światła – skarcił strażnika sędzia.

– Tak, popełniliśmy wykroczenie. Ale sugerowano nam...

– Nie powołuj się na zbiorową odpowiedzialność!

– Dobrze. To ja rozkazałem wyprowadzić tę karetkę. – Przesłuchiwany westchnął głośno, ale oddychał coraz szybciej, jakby ten ludzki odruch nie przyniósł mu ulgi.

– Interesujące! Została więc wcześniej zaciemniona? Z rozmysłem?

– Skądże! Stała w wozowni od niepamiętnych czasów. Kiedy rozpoczynałem służbę...

– Wystarczy. Sąd rozumie.

– Nie mogliśmy dopuścić, żeby ten człowiek nam uciekł.

– Albo został zamordowany po drodze przez żądnych krwi wieśniaków. Jak w starych romansach – zaśmiała się kobieta.

Strażnik zastanawiał się, kim ona może być. Przesłuchania prowadzi zazwyczaj jeden prawnik, chyba że... Mężczyzna zdrętwiał ze strachu. Mogło chodzić o Tajemny Paragraf, którego boją się wszyscy, nawet prezydencka para, choć od lat nikt nie słyszał, żeby się doń uciekano. Dlaczego więc...

– Czekamy! Sędzia siorbnął głośno. Musiano mu podać kawę.

– Nic nie wskazywało, że będziemy mieli kłopoty. Tymczasem nad jeziorem czekali ludzie z osady Jego Wysokości. Pojmali tego człowieka i żądali wypłaty nagrody. Natychmiast.

– A ty wygłosiłeś do nich przemowę.

– No, nie żeby aż tak...

– Co powiedziałeś? – Suchy kobiecy głos przybierał coraz bardziej szorstki ton.

– Odwołałem się do obywatelskiego sumienia...

– Prostacków? – Teraz zachichotali obydwójce przesłuchujący. – Twoim obowiązkiem było przejąć więźnia bez gadania i wrócić do twierdzy.

– O, tak! Ale tamci mieli cepy, widły i jeszcze takie... wie sędzia...

- Kosy?
- Właśnie, kosy. Wyglądały na bardzo ostre.
- Ilu ich było?
- Z dwudziestu. Mówili, że sami woleliby skończyć z tym czarownikiem, ale...
- Czary nie istnieją. – Odpowiedź kobiety brzmiała kategorycznie.
- Wiem, tylko...
- Pochodzisz ze wsi?
- Niezupełnie.
- Nie znasz swego pochodzenia? – syknął sędzia.
- Wiele osób jest w podobnej sytuacji! Urodziłem się w twierdzy, moja matka trafiła tu przypadkiem...
- Wzruszające! Wymyśliłeś tę historyjkę, żeby dostawać dodatek dla sierot i różne odškodowania?
- Ależ...
- Dobrze, dajmy temu spokój. Jak udało ci się uchronić więźnia przed samosądem?
- Ten gość sam się obronił – odpowiedział z przekonaniem strażnik.
- Przed watahą dwudziestu kosiarzy?
- Tak. Nie mogli zbliżyć się do niego na dziesięć metrów, a rzucały w kierunku faceta...
- Narzędzia rolnicze?
- Owszem. Wszystkie chybiały celu.
- Zwykła hipnoza – osądziła kobieta.
- Kiedy podeszliśmy do tej zaczarowanej granicy...
- Kto?
- Ja i mój człowiek. Wtedy ten mężczyzna nas przepuścił i pozwolił stanąć obok siebie.
- I co robił?
- Nic.
- Jak to: nic?
- Siedział na brzegu jeziora i patrzył na wodę.
- W jeden punkt? – Kobiety głos jakby podniósł się o nieuchwytny, niepokojący ton.
- Nie. Ten człowiek od czasu do czasu poruszał głowę.
- Obserwował całe jezioro?
- Też nie. Jakby zmieniał kąt spojrzenia.
- To bardzo ważne – poważnie rzekł sędzia. –Jesteś pewien, że właśnie tak się zachowywał?
- Naturalnie. Pamiętam wszystko dokładnie. Zauważył nas od razu, ale nie zareagował. Wyjąłem kalendarz i odczytałem formułę aresztowania...
- Powinieneś znać ją na pamięć.
- Dowódca zezwolił nam korzystać z kalendarza, abyśmy nie popełniali pomyłek. Jeżeli przestawi się wyrazy, aresztowanie jest nieważne i podczas procesu więzień może odwołać się do...
- Wiemy o tym, mój drogi. – Tym razem głos sędziego niemal pieścił przestrzeń dzielącą go od gabinetu strażnika, który zgoła nie pojmował tych zmian prawniczych nastrojów. Zeznawał przecież konsekwentnie, ze szczegółami i nie został przyłapany na poważniejszych uchybieniach zawodowych. – Pozwól jednak, że wrócimy do sprawy. Odczytałeś formułę temu mężczyźnie?
- Przecież powiedziałem... A potem poprosiłem go o dokumenty. Nie miał żadnego paszportu ani legitymacji, więc przeszukaliśmy kieszenie. Były puste. Ani grzebienia, ani chustki do nosa.
- Inne osobiste rzeczy?
- Znaleźliśmy tylko lusterko.

– Dlaczego dopiero teraz o tym mówisz?

– Bo ono leżało na ziemi, obok miejsca, gdzie siedział. Wstając podniósł je i chciał włożyć do ust. Powstrzymaliśmy go myśląc, że próbuje popełnić samobójstwo i skonfiskowaliśmy...

– Osobliwy sposób na odejście z tego świata. – Kobieta przybrała filozoficzny, poważny ton. Towarzyszyło mu łakome mlaśnięcie. Musiała kosztować znakomitych słodczy, pewnie dowódca twierdzy rozkazał ugościć sędziów po królewsku. Strażnik był już głodny. Drugie śniadanie zjadł przed trzema godzinami, a nie zanosilo się, by prędko mógł rozpocząć następny posiłek. Zwykle przed obiadem zasiadał do stołu cztery razy. Nie potrafił powstrzymać kłopotliwego burczenia w brzuchu i dlatego skrupulatnie wypełniał go podczas służby, popijając jadło niegazowanym sokiem z moreli. Wolałby oranżadę, ale gdyby się nią uraczył, zbyt często musiałby odwiedzać specjalnie wydzieloną przez dowódcę na puszczenie bąków toaletę na parterze, pilnie zresztą obserwowaną przez portiera. Ów złośliwy staruszek podobno nawet notował, kto i ile razy dziennie wchodzi do owego przybytku hańby. Dowódca ponoć nie wstępował tam od uroczystości otwarcia, na którą zaproszono jedną z konkubin Jego Wysokości. Cała twierdza została zmobilizowana do poszukiwania srebrnej tacki na nożyczki. Ten niezbędny rekwizyt zawieruszył się gdzieś po oficjalnym zamurowaniu raz na zawsze celi śmierci, uroczystości *nad wyraz demokratycznej*, jak to powiedział dowódca, a funkcjonariusze cytowali go przez dwa lata. Strażnik uśmiechnął się na wspomnienie tych miłych chwil, lecz natychmiast spoważniał. Mógł być bacznie obserwowany, choć nie natrafił w swym gabinecie na urządzenie podglądowe nawet podczas ostatniego remontu.

– Aresztowany wszedł posłusznie do karetki – powiedział, żeby coś powiedzieć.

– A ci chłopi?

– Szli za nami przez jakiś czas, ale im się znudziło. Nagabywali potem dowódcę, żeby mimo wszystko wypłacił im tę nagrodę, grozili odwołaniem do Jego Wysokości. Niczego nie osiągnęli! Nasz dowódca jest mądrym człowiekiem, wytłumaczył im, jak to robi co roku, aby nie dawać nam nagród jubileuszowych, iż nie wypełnili zadania do końca, więc nic się im nie należy. Jeśli nie położyłeś dachu na najpiękniejszym nawet domu, nie możesz w nim zamieszkać, tak powiedział, a potem przytoczył jeszcze kilka innych przysłów...

– Powiadasz, że dowódca was nie nagradza? – zainteresował się sędzia.

– Tylko czasami, nie warto o tym wspominać. – Strażnik próbował ukreślić łeb sprawie. Usłyszał donośny basowy rechot i natychmiast wyobraził sobie dowódcę oskarżonego o malwersację, a także nowego oficera, przysłanego przez Jego Wysokość, który mógłby pobierać od funkcjonariuszy opłaty za wodę lub toaletę, czy też inny bardziej niedorzeczny haracz.

– Do tego wrócimy później – sędzia był nieugięty – a teraz proszę powiedzieć, co zrobiliście z więźniem.

– To długa historia... i skomplikowana.

– Spodziewam się, ale czy tak bardzo, byśmy nie mogli jej pojąć?

– Nie przypuszczam... nie chciałem urazić... Na początku wsadziliśmy tego gościa do normalnej celi.

– To znaczy jakiej?

– Pojedynczej, z sanitariatem i łóżkiem. Tylko on zaczął rozrabiać i...

– Niszczył sprzęt? – zainteresowała się kobieta głosem nasyconej kotki.

Strażnik skręcał się z głodu i cały czas wpatrywał się w granatowy chlebak z kanapkami. Na myśl o cudownie miękkich sezamowych bułkach z szynką i kiszonym ogórkiem poczuł lekkie mdłości. Pod koniec dyżuru nie będą już takie smaczne. Może w ogóle nie nadadzą się do zjedzenia, w gabinecie, na ten jeden dzień przemienionym w Pokój Prawdy, zrobiło się nieznośnie gorąco. Cudownie pachnące mandarynki utraciły już pewnie połysk, może zaczęły gnąć! A sok, którego w tej sytuacji nie było gdzie schłodzić, też wyda się raczej kwaśny niż orzeźwiający. No, może grejpfrutowy nadałby się na tę okazję, w domu zostało parę kartoni-

ków, ale kto mógł przewidzieć ten nalot, sam dowódca nie wiedział, uprzedziłby przecież ludzi, żeby jak najlepiej wypaść, nie z czystej życzliwości, co to to nie!

– Gorzej! Gdyby zdemolował pomieszczenie – strażnik musiał się w końcu odezwać – zgodnie z regulaminem mielibyśmy prawo skuć więźnia. A on tylko siedział na łóżku i... wszystko, co mógł, zamieniał w lustro.

– Nie rozumiem – zaciekał się sędzia.

– Umiał... z każdej polakierowanej powierzchni zrobić coś tak niesłychanie błyszczącego, jakby skupiał w tym przedmiocie światło, jestem prostym człowiekiem, panie sędzio, naprawdę nie wiem, jak on to malował i czym...

– Ale próbowałaś z nim walczyć.

– Spełniałem obowiązek! Gdyby to wydarzyło się za naszych ojców, zawiązano by facetowi opaskę na ślepia i po kłopotcie. Pradziadkowie trzymali takich w norach pozbawionych światła, a jeszcze starsze pokolenia najzwyczajniej wyłupiłyby te dziwne patrzaki czarownikowi. A jeżeli i to by nie pomogło, zbudowałiby stos z czarnego drzewa i o północy zarznęli sto czarnych psów. Dawniej łatwiej było wyplenić takie...

– Jesteś zwolennikiem surowego prawa. Jak w końcu postąpiłeś?

– Przeczytałem parę starych ksiąg i znalazłem sposób. Dowódca już mnie ponaglał, bo te lustro zaczęły wędrować po więzieniu, to znaczy światło bijące od tego faceta włąziło do innych cel. Pensjonariusze zaczęli się skarżyć, domagać ciemnych okularów, jak to kryminaliści, potrafią z byle powodu robić szum.

– Doszło do buntu więźniów?

– Nie! – krzyknął przerażony strażnik. – Nie u nas. Trochę poszumeli i tyle.

– Rozumiem. Wróć do tematu.

– Aby być w zgodzie z regulaminem, nie mogłem zasłonić okna w celi, kazałem więc wstawić matową, kuloodporną szybę, taką jakie są w gabinetach rządowych. I drugą do judasza. Gość omal nie zabił mnie tym swoim spojrzeniem, ale nawet wtedy się nie odezwał.

– Z nikim nie rozmawiał?

– Milczał przez cały czas. Może był głuchoniemy.

– Był? – szepnęła kobieta.

– Mówię tak, bo już go u nas nie ma – wyjaśnił funkcjonariusz. – Znikł.

– Uciekł?

– Nie jestem pewien.

– Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

– Przedwczoraj wieczorem. Miałem nocny dyżur, żał mi się nawet zrobiło biedaka. Przez trzy dni wynędzniał, schudł o połowę. Nie jadł. Nie zauważyłem, żeby używał choćby wody.

– Tak łatwo pogodził się z losem?

– Miał się na mnie rzucić? Nawet to światło, którym się napychał, nie dałoby mu tyle sił, żeby mnie pokonać. Nie zazdrościłem czarownikowi tej zabawy, jak ci chłopci, panie sędzio. Bo co to za przyjemność patrzeć po kilka godzin dziennie, albo i dłużej, w lustro? Nie polubiłbym mojej gęby. Ledwo się ogolę, a już jestem zarośnięty. Przed końcem służby muszę wyciągać maszynkę, prąd służbowy zużywam, ale jak to bez toalety na ulicę wychodzić, jeszcze ludzie wzięliby mnie za zbiega...

– Gdybyś był sędzią w tej sprawie – kobieta pisnęła wesoło – jaki wydałbyś werdykt? Wiesz, jesteśmy w trudnej sytuacji. Jego Wysokość zakazał umarzać sprawy. Musimy każdą rzecz zakończyć, rozwiązać wszystkie zagadki.

– Stare podręczniki mówią, że matowa szyba może wchłonąć najsilniejszego pozeracza światła. Ale gdyby ją rozbić...

– Co się wtedy stanie?

– Historia może zacząć się od początku. Zacznie znów ubywać dnia, świat poszarzeje, tak jak w zeszłym tygodniu. A pożeracz uodporni się być może na matowe szkło i nie da się ponownie uwięzić.

– Jego Wysokość przypisuje winę za przedwczesny zmierzch bardziej czarnym niż zwykle chmurom. Tyle sprzecznych opinii w jednej sprawie...

– Zawsze można wyjść na dziedziniec i wybić to okno, choć, jak mówiłem, jest kuloodporne. Skoro nie ma pożeraczy światła... Nie mogę za pana decydować, panie sędzio. Zresztą sam jestem tak głodny, że zjadłbym choćby żarówkę.

RONDO

Wyjechał rano do pracy, spóźniony oczywiście, kłopoty przy goleniu z tą cholerną maszynką, już na pierwszym skrzyżowaniu korek i strata kolejnych minut, a tak chciałby punktualnie w urzędzie wypić poranną herbatę; nim otworzysz akta, koniecznie trzeba się napić, nie ma nic wspanialszego na upały niż herbata granulowana z cytryną i lodem, wiśnie i kropla wina ananasowego, koniecznie bardzo zimne, własny to jego, Rene, wynalazek, ludzie chwalą to, chociaż to. W samochodowej lodówce miał tylko puszkowe, niesmaczne korzenne piwo, kupił gdzieś w centrum, trzeba będzie wyrzucić to świństwo i wstawić coś innego.

Upał już rozpostarł się nad autostradą i poprzez otwarte okno porsche muskał policzki delikatnymi ukłuciami, drażnił zapachem morza, znad którego napływały do podmiejskiej dzielnicy chłodne wonie mokrego piasku i wiatru. Rene otworzył drzwi samochodu i rozejrzał się, fala pojazdów z przodu zdawała się już poruszać, ale do centrum dotrze nieprędko; pierwsza zmiana urzędników znowu zbierze zły humor szefów, skąd ich tyle, więcej niż podwładnych, każdy jest czyimś szefem i na drabince tej jak w ulicznym korku, myśl czeka na swoje przejście uroczyście zapatrzona w wirujące gorącym powietrze, co stać się tak łatwo może rzeką zapomnienia, lecz z nocy letnim aromatem dojrzewających oliwek. Zapach ten przebija się przez swąd spalin, które czynią powietrze jeszcze bardziej gorącym i mglistym. Ubranie klei się do ciała, a wentylatory rozdmuchują tylko piasek na poboczu autostrady, wgryzający się w opony, buty, oczy, złośliwy w swej ruchliwości; podmiejskie brzoskwinie i winorośle walczą z nim, otrząsając nieustannie swe liście, jakby tańczyły oderwawszy się od swych korzeni, przeniesione magiczną siłą o krok i przecięte bez bólu nad samą powierzchnią istnienia.

Ilekróć jechał tą trasą, narzekał w duchu na niewygody i tylko tyle było w nim buntu, tego jednak dnia mocniej poczuł zapach morza, zaciągnął się nim jakby głębiej i kiedy samochody ruszyły, zamiast wczepić się w kółko łańcucha i podążyć nurtem dłań przeznaczonym, skręcił w boczną drogę prowadzącą za miasto. Dziwnie tak zlekceważyć sobie stanowisko i sprawy służbowe, lata wysiłku pójdą na marne, ale niech wielcy panowie z oszklonych gabinetów poszukają sobie kogoś innego do przekładania papierów, trzeba czasem odjechać i zapalić się od słońca gorączką miękącego asfaltu, poczuć w uszach świst przerażonego prędkością powietrza, śpiew silnika, sprawnego serca tej wyprawy, trochę gazu, parę kilometrów boczną drogą i znów jedzie się promenadą wzdłuż zatoki. Wiele moteli jeszcze zamkniętych, dopiero za parę dni natrętni turyści zakrzyczą słodkie szeptu morza, ale za to wywiozą gdzieś w świat rozgrzany piasek i będzie stygł w kieszeniach ich ubrań, walizach, opowiadając do poduszki historii o tańcach, przygodach, swymi drobinami słumi niesmak rozstań, porannych kąpeli pod prysznicem, branych pośpiesznie, by zmyć przemoc, której było potrzeba przeciw upartej dziewczynie, którą jeszcze pachnie wczorajsza koszula.

Nie obchodzi to Rene, jest przecież tubylcem, urodził się w małej wiosce parędziesiąt mil stąd i legenda jego dorastania biegła tak zwyczajnie – zdolny chłopak, jego sprzymierzeńcy i wrogowie, szkoła, studia, staż zagraniczny, przypomina sobie teraz, jak wydawał pierwsze pieniądze zarobione na sprzedaży owoców, uśmiecha się do swego odbicia w lusterku. Poszedł do domu publicznego, żeby dowiedzieć się, jak te rzeczy robić najlepiej, zapłacił od razu za dwie dziwki, chciał bowiem dojrzeć szybko, przełamując kompleksy dzieciństwa, wyrzucić z siebie resztę wrażliwości, zgasić pragnienia tak jak tłumi się ognisko, zalewając je wodą. Wrócił wtedy do domu chwiejnym krokiem, choć pił mało, ale pozwolił za to tym dziewczynom odkryć wszystkie tajemnice swego ciała i gotów był zaprosić jak najwięcej widzów, by patrzyli na tę naukę. Później także lubił płatną miłość. W kupowaniu ciała znajdował przyjemność i pewność, że z czystym sumieniem będzie porównywał wrażenia kolej-

nych wieczorów, nie naruszając niczyich nadziei ani uczuć, gdyż zakładał, że towar nic nie czuje, jest tylko maszyną do dawania wiedzy. Utożsamiając grę miłosną i poznanie, Rene zrezygnował z typowo urzędniczych rozrywek: teatru, kawiarni, kasyna.

Dbął bardzo o swoją powierzchowność, natura dała mu regularne rysy twarzy, zgrabną sylwetkę i wysoki wzrost, a nade wszystko wesołe i jakby zawsze uśmiechnięte spojrzenie, które wśród ludzi nie mogło wzbudzać uczuć pośrednich, miał więc wrogów i awansował wolniej niż mógł się tego spodziewać. Tak naprawdę nie zależało mu jednak na tym, prysnął przecież na tę przejażdżkę, nie mając pewności, że ujdzie mu to na sucho jak dotychczasowe kaprysy, fajerwerki nastroju i zabawy w czasie pracy.

No, choćby ten numer, kiedy zeszłego roku miał po południu dyżur w firmie i w windzie między parterem a dziesiątym piętrem wziął swoją nową sekretarkę, która dopiero co zgłosiła się do pracy, choć mógł poczekać i zrobić to kiedykolwiek i gdziekolwiek. Kpił, że zgłosi czas swej akcji do księgi rekordów, co istotnie powinno się stać, zwłaszcza że mała Muriel była dziewczicą i do tego nosiła szkła kontaktowe, a stanowiła typ ciemnej blondynki o delikatnej cerze i zimnych dłoniach. Taka babka, nim zrobisz jej numer, piszczy jak głaskana pod włos kotka i broni się pazurami, ale Rene miał jakiś tajny sposób i zakończył zabawę w dwie minuty trzydzieści jeden sekund, zmierzwszy czas na stoperze, który czasami nosił w kieszeni, gdy wybierał się na dziwki. Było potem trochę huk, gdyż dziewczyna doniosła do naczelnego i całą jego paczkę różowych chusteczek zasmarkowała, zwierając się ze swej przynagody, szef jednak okazał się człowiekiem i sam, bo akurat był świeżo rozwiedziony, chętnie panienkę poślubił. Nie da się ukryć, była śliczna.

Z tamtego dnia Rene pamiętał wiele szczegółów. Dziewczyna nosiła złote pantofelki na wysokich obcasach, zawiązane na kostce stylizowaną na łańcuszek wstążeczką. Kiedy Muriel czekała na windę, kokardka rozwiązała się i trzeba ją było poprawić. Rene obserwował, jak ta mała siada na krześle windziarza, zdecydowanie zakłada nogę na nogę i przywraca właściwy kształt ozdobie swej kostki. Wstając z krzesła, obciągnęła praktyczną spódniczkę piaskowego koloru, a w półobrocie ukazał się cały jej strój – zielona bluzeczka w czarne paski i żakiet z dużymi kieszeniami, jaki powinna nosić wzorowa sekretarka. W kieszeni Muriel miała gazetę, tę gazetę, w której firma dwa dni wcześniej opublikowała ogłoszenie o wolnych posadach. Rene wspominał z rozkoszą, jak jednym ruchem palców prawej ręki rozpiął bluzkę, a lewą zsunął z dziewczyny spódniczkę, idealnie otwarty strój miała jak na pierwszy raz... A teraz została dyrektorem i udaje, że nie zna Renego wcale a wcale, odpowiada mu to, krzywdą nikomu się nie stała, a piękna zawdzięcza mu tak wiele.

Niezwykle wygląda dziś promenada, mało ludzi, żadnych samochodów. Jakaś sylwetka, nieruchoma, jasna, wyrasta nagle na poboczu i wchodzi wprost na maskę porsche! A może stała cały czas na jezdni? Renę zatrzymuje się, ale rusza dalej, nikt nie widział wypadku, dziwi się tylko, że na masce nie ma krwi, nie odczuł żadnego wstrząsu, jakby postać, którą rozdarł na strzępy, składała się z jakichś ulotnych pierwiastków. Przysięgłby jednak, że potrafił Muriel, która stała na jego drodze, uśmiechając się przyjaźnie i machając ręką. Nie obejrzał się, lecz trochę zwolnił.

Spojrzał na zegarek. Za ledwie godzina upłynęła od czasu, gdy opuścił miejską autostradę. Dlaczego ta kobieta, może to nie była Muriel, nie zrobiła dosłownie nic, by wyminąć rozpędzoną maszynę? Coś w nim chciało zawrócić, zbadać sprawę do końca, ale samochód, nowy nabytek za premię, sunął jak oszalone stado koni, rozpędził się, wciągając jeźdźca we własny krwioobieg, kierownica była czuła jak klawiatura doskonale nastrojonego fortepianu. Renę dotykał jej czubkami palców, odczuwał rozkoszne wibracje i jeszcze zwiększał prędkość.

Było gorąco jak w samo południe. Cóż, trzeba zdjąć marynarkę i krawat, dalej pojedzie w rozpiętej koszuli, ale co to, na drodze znów ktoś stoi, nieruchomy jak posąg, wali się pod koła, a maszyna przepływa po nim jak po morskiej fali, jakby nikogo nie było. Ale Rene widział twarz i rozpoznał księdza Fabiana z rodzinnej wsi, wysokiego, surowego kapłana, który nie

dał szansy swemu wychowankowi, gdy przyłapał go na chórze oddającego się sztuce onanii w mało wyrafinowany sposób, poprzez chusteczkę do nosa.

Tam, na wysokości, Rene jako chłopiec czuł się współtwórcą świata, własnym kreatorem, niemalże wyrazicielem któregoś z mitów agrarnych i robił to sam z sobą, klęcząc na szeroko rozstawionych kolanach, wpatrzony w wizerunek bezimiennej świętej. Jej zakurzony portret wisiał w świątyni od niepamiętnych czasów.

W świętej ciszy kościoła, w miłym półmroku słyszał tylko swój oddech i wyobrażał sobie tę świętą damę, jak zdejmuje biały kwef, rozpuszcza włosy i siada na łożu obok kochanka, który czeka na nią ze złotym pucharem wina i podaje jej go, by usta miała jeszcze gorętsze, a tu jej dłonie płoną z niecierpliwości, chcąc dotykać już bioder przyjaciela silnymi palcami, ścisnąć jądra aż do bólu, niech poczuje pożądanie do całej jej natury poza dobrem i złem, które w ich tajemnym związku są niepodzielne jak zdrada i wierność, nienawiść i kochanie. Ale pije ten kielich do dna i na jej przerażająco bladej twarzy jawi się trochę różu, który zdradza starannie zamaskowaną na portrecie zagadkę – ktoś zranił Beatrix, bo tak nazwał ją w wyobraźni Rene, w twarz – od lewego ucha w kierunku oka biegnie głęboka blizna. Kto jej to zrobił – zdradzony mąż, inkwizytor podczas śledztwa...

Wielebny Fabian zaskoczył swą ofiarę w kulminacyjnej chwili. Skorzystał z chłopięcej bezradności, policzkując Renego z całej siły i kopiąc go w brzuch. Chłopiec nie krzyczał ani nie protestował, pozwolił ciągnąć się za ramiona przez pusty kościół aż do prywatnych pokojów księdza, gdzie zdarto zeń ubranie i przywiązano do krzesła. Nie chce tego pamiętać... Wzdrygnął się na samą myśl o tym, jak nocą, wspaniałomyślnie uwolniony, z trudem doczołgał się do domu i odchodzącej od zmysłów matce podał bajeczkę o bandziorach z innego okręgu, mówił to, gdy myła go w łazience i opatrywała liczne nacięcia od noża. Ułożyła syna na prawym boku w swym wygodnym łóżku, a sama usiadła obok, by swobodnie zmieniać okłady na posiekanych pejczem plecach. Rano chciała natychmiast biec na posterunek żandarmerii, aby ścigano zboczeńców, ale Rene błagał, by o sprawie zapomniano. Obcy mogliby wrócić i mścić się, a pozostawieni w spokoju nie pojawią się już we wsi.

Groził ucieczką z domu, więc skończyło się na dwutygodniowej nieobecności w szkole. Prawie tydzień przeleżał w łóżku, nie mogąc się ruszyć, ale matce mówił: czuję się dobrze, świetnie, nie wzywaj lekarza, daj mi lepiej te pieniądze na książki, kupię słownik cytatów, nauczę się kilku z nich, by tłumaczyły tylko mnie, na różne okazje, dla szkoły i domu, gości i kolegów, jasne, że to snobizm, ale widzisz mamo, nie mam czym zaimponować, ojciec zmarł tak dawno, sama o wszystko się troszczysz, tak chciałbym stąd wyjechać, gdzie nikt by mnie nie znał. I spełniło się marzenie...

Trzecia przeszkoda na drodze, tym razem wyraźnie słychać krzyk, trzask łamanych kości, przez boczną szybę widać, jak na przeciwną stronę autostrady toczy się głowa wuja Donalda. Ale czerwony sportowy wóz mknie dalej, może dlatego, że wujek leży od miesiąca w szpitalu, no ale mógł przecież wyjść i znowu stanąć na drodze, jak wtedy. Potrzebne były pieniądze na opłatę czesnego i pokój w stolicy, poszli więc oboje, wystrojeni odświętnie do starannie utrzymanego domu z bramą wjazdową dla samochodów i ogrodem pełnym róż. Błękitny kryształ kieliszków, do których służący nalewał musujące czerwone wino, migotał ciepło na stole, tylko matka pochmurniała coraz wyraźniej, aż koło ósmej odesłała syna samochodem wuja do domu, a sama pozostała rzekomo omówić finansowe szczegóły i plany na przyszłość, karierę młodego prawnika należy starannie zaplanować, przemyśleć, czym mógłby się zająć. Zdolny człowiek będzie miał zapewnioną opiekę rodziny, o to się nie martw, droga siostró...

Rene czekał na matkę całą noc, chodził po pokoju, potem otworzył butelkę wódki i próbował pić, ale gardło miał jakby sparaliżowane, świeżo zaparzona kawa także została nietknięta, zasnął w końcu w fotelu koło drzwi, a kiedy się obudził, w samo południe, ona otwierała właśnie drzwi, a gdy zerwał się i chciał ją powitać, odepchnęła go i pobiegła do swego pokoju. Zamknęła drzwi od środka na zasuwkę, więc stukał, prosił i wołał o pomoc, przez cały dzień

nie wyszła jednak i dopiero wieczorem, gdy wraz z sąsiadem wyważyli drzwi, zrozumiał, że odbiegła gdzieś w głęboką prajaźń i nie powie, co się stało. Resztę życia spędziła w zamkniętym sanatorium. Mimo wszystko Rene wziął pieniądze wuja Donalda i rozpoczął studia. Marzyło mu się spłacić kiedyś ten dług, lecz w życiu tyle przyjemności można sobie sprawić na dworze mamony, tylko czemu starszy brat matki teraz leży już na drodze albo w szpitalu, dlaczego żądał aż takiej ceny?

Nie próbując nawet hamować, prawie bez wrażeń Rene potracił przebiegającego jeźdźnię wysokiego mężczyznę w sportowym stroju. Usłyszał gwizdy nieobecnej publiczności, zaraz potem oklaski. Na boisku byli partnerami i przyjaciółmi, rozumieli swoje zagrania tak, że gdy Rene podbiegał pod bramkę, piłka nadlatywała mu prosto na lewą nogę albo na piersi, by mógł ją podbić i strzelić gola głową w samo okienko. Cezar pierwszy bił wtedy brawo, jak szalony fikał koziołki po boisku ku uciechu publiczności, silny jak byk obnosił zdobywcę bramki na barana wokół linii boiska. Rene nie chciał poświęcić się wyłącznie sportowi, reprezentował uczelnię, został nawet zwolniony z opłat za naukę i mieszkanie, kiedy zdobył tytuł króla strzelców, dostawał stypendia, puchary, a tak naprawdę chciał tylko dyplomu, jakoś przedwcześnie dorosły, kiedy inni gotowi byli przewędrować cały szlak akademickich pokoi, wypić morze piwa za zdrowie i chorobę, on poznawał sekrety historii prawa, notował w pamięci sławne procesy i precedensy, ustawy, kodeksy. Nie podobało się to Cezarowi, który chciał więcej trenować, a nie został z uczelni wyrzucony tylko dlatego, iż był najlepszym pomocnikiem w amatorskiej lidze futbolowej. Musiał mieszkać poza terenem uczelni, gdyż zdradzał zainteresowania młodymi kolegami i zdaniem rektora stanowił pewne zagrożenie dla ich moralności.

Kiedyś zostali sami w klubowej szatni, po wygranej meczu wszyscy jakoś szybko uciekli. Rene sam opatrywał stłuczone kolano. Nie było jeszcze sprzątaczk, a otwartymi drzwiami sauny wdzierало się nieznośne gorąco. Cezar wyszedł spod prysznicy, wycierał się przez chwilę i przystąpił do akcji tak szybko, że nie było czasu na przygotowanie obrony; Rene leżał na brzuchu na podłodze, padając rozbił sobie nos o kafelki. Wykręcone ręce były już związane na plecach ręcznikiem, a Cezar mruczał coś pod nosem i ciężko oddychał, gdy ściągał przyjacielowi klubowe spodenki i siadał okrakiem na jego nagich udach.

Rene błagał bezskutecznie, sam nie wie, dlaczego nie krzyczał, prosił tylko: zostaw mnie, puść. I stało się coś, czego nie zaznał nawet w pokoju ojca Fabiana, smagany pejcem, ciężki nożem. Czuł w gardle nieznośny ucisk, wymiotował i zdawało mu się, że Cezar chce wypruć z mego jelita i poszarpać je gwałtownymi i głębokimi uderzeniami. Im bardziej próbował się opierać, tym silniejszy stawał się ból.

Ustalono później, że zajście trwało ponad pół godziny, z odsieczą całkiem przypadkowo nadeszła sprząteczka. Gdy Rene usłyszał zgrzyt klucza w zamku, Cezar cicho jęknął i próbował uciekać. Został aresztowany i oczywiście musiał pożegnać się z uczelnią, ale do procesu nie doszło, gdyż Rene odmówił jakichkolwiek zeznań i nie wniósł oskarżenia.

Samochód zbliża się do miejsca, gdzie trzeba wybrać dalszą drogę – prosto na plażę albo przez ukwiecone rondo powrotną trasę do miasta. W biurze nie zdążyli się chyba zaniepokoić, myślą, że zawieruszył się gdzieś z dziewczyną albo budzik nie zadzwonił, styl ten sam. Cóż, trzeba wracać. I korzystając z niemałych możliwości swego wozu, trochę oślepiiony blaskiem słońca odbitym od lusterka, Rene z dużą prędkością zaczął kręcić koło na rondo. Wtem zauważył, że z bliskiej odległości w jego kierunku kroczy uśmiechnięty tłumek postaci – kole-dzy i koleżanki z biura, ze studiów, znajomi, dalsi krewni. Coraz ich więcej, chyba śledzili go przez cały czas. I wcale nie zamierzają zejść na pobocze. Prędkość hamowania...

ZDRAJCA

– Wyrzekam się słowa, obrazu, muzyki. Będę czynił tylko rzeczy użyteczne i nauczał wiary, pomagał ubogim. Nie usiądę nad książką dla własnej próżności, nie powieszę na ścianach płócien przedstawiających świat wyobraźni. Przysięgam nosić proste i skromne szaty, nie wyróżniać się w tłumie, chodzić ze spuszczoną głową, jak nakazuje reguła. A całą duszę oddam Pani naszej, służąc jej w każdej potrzebie, nie skarżąc się w chorobie ani w nieszczęściu. Gdybym złamał przysięgę, poniosę zasłużoną karę...

Kiedy wypowiedziałem te zdania? Czy ktoś mnie do tego zmusił? Dlaczego dałem się podejść? Dlaczego! Daremnie oszukiwałem sam siebie, że uczyniłem to nieświadomie lub pod przymusem, z którym nie potrafiłbym walczyć. Bezmyślnie? Och, nie! Z pełną świadomością zostałem krzywoprzysięcą. Śmiałem się w duchu, wypowiadając rotę. Kładłem palce na karcie świętej ustawy i wiedziałem, że złamię ją jeszcze tego samego dnia, w samotności mego pokoju. Usiądę za biurkiem, rozłożę czystą kartę i będę pisał powieść. Ale najpierw wybiorę pseudonim, nie mogę przecież wydać jej pod własnym nazwiskiem, skoro już wstąpiłem do Zakonu Czystego Umysłu. Namawiano mnie, to prawda. W domu! Rodzice, brat, siostra, dalsza rodzina. Pamiętam wszystko! Często słyszałem:

– To dobry zakon. Niewiele płaci za przynależność, ale parę groszy zawsze będziesz miał. Do późnej starości, jeśli dotrzymasz przysięgi. No i jego członkom wolno mieszkać w domu, nie muszą nosić żadnych habitów ani mundurów, mają dużo czasu dla siebie. Raz dziennie modlą się do Pani, to wszystko. Od czasu do czasu występują publicznie, kiedy trzeba potępić jakiegoś wariata, który ośmielił się napisać wiersz czy zrobić coś równie niedorzecznego.

Przy każdej okazji informowano mnie o atrakcyjnych formach spędzania czasu, w których mogę wziąć udział. Zanim przeszedłem uroczystą inicjację, wiedziałem już mnóstwo rzeczy na temat obrzędów, koneksji i zajęć zakonników, choć ich działalność była ponoć utrzymywana w tajemnicy przed osobami świeckimi. Znałem z opowiadania postacie mistrzów i wyższych urzędników, nawet główny budynek – świątynię i dom zakonny – opisano mi ze szczegółami. Nie byłem więc ciekaw, jak potoczy się moje dorosłe życie i odwlekałem chwilę przystąpienia do bractwa. Ojciec, jak to on, niecierpliwił się i patrzył na mnie z wyrzutem, kiedy wracałem późno do domu, ale dawał mi drobne na papierosy i wódkę. Mawiał, że zakonnicy tego piją, kopcą niczym kominy, więc powinienem trochę poćwiczyć, zanim zacznę spędzać czas w ich towarzystwie.

– To będę musiał się z nimi przyjaźnić? – spytałem kiedyś, a ojciec zmarszczył brwi i nie od razu mi odpowiedział. W końcu jednak rzekł:

– Niekoniecznie. Wcale niekoniecznie. Nawet nie muszą bywać u nas w domu. Co prawda mogą pomyśleć, że jesteś niegościnnie, jeśli ich nie zaprosisz od czasu do czasu.

– Ale tylko od czasu do czasu, tato?

– Tak. Zbyt bliskie więzi byłyby też podejrzane.

– Podejrzane? – powtórzyłem, oczekując bardziej szczegółowych wyjaśnień.

Ojciec milczał. Zapatrzył się w popielniczkę i zapalił kolejnego papierosa. I choć były to najzwyklejsze w świecie pety, pochłaniał je ceremonialnie niczym czarodziejskie zioła, zaciągając się głęboko, z pełnym oddaniem. Każdą paczkę otwierał, jakby miał spełnić sakrament, czystymi rękoma, powoli, żeby nie uszkodzić pudełka. Chętnie częstował mnie w tajemnicy przed matką, kiedy jeszcze byłem dzieckiem, zbyt małym, żeby kosztować dojrzałych przyjemności. Dawkował mi je tak samo jak owe informacje o zakonnikach, żebym wiedział sporo, ale nie za wiele, w sam raz tyle, ile potrzebował mój nieokielznany niepokój. Ja

zaś ustępowałem, nie dopytując się natarczywie, wolałem poszukać potrzebnych informacji samodzielnie, włożyć trud w coś, co mogłem otrzymać zbyt łatwo, gdybym nalegał i zadreślał ojca pytaniami.

Kiedyś jednak trzeba było zacząć przynosić rodzinie dochody. Nie przyjęto by mnie do żadnej ciężkiej pracy, pryncypał zorientowałby się pierwszego dnia, że choruję na serce, puchną mi dłonie i nie najlepiej widzę. W dzień dwudziestych urodzin wstałem więc wcześniej i rozpocząłem Praktykę Zakonną – tak właśnie nazywano pierwszy stopień wtajemniczenia. Następny miano mi nadać, gdy na to zasłużę, czego dowiedziałem się z ust samego Wielkiego Mistrza.

Po miesiącu zezwolono mi złożyć przysięgę i wydano zaświadczenie, że zostałem członkiem zgromadzenia. Gratulacje, wiwaty, sympatyczne gesty, rozmowy najzupełniej świeckie sprawiły mi nawet przyjemność, w każdym razie zostałem uznany za swego i przydzielono mi zakres obowiązków. Nie było tego wiele, na razie miałem przygotować prelekcję o obrzydliwości malarstwa abstrakcyjnego, dowodząc, że jest ono nieetyczną grą z odbiorcą. Bracia chcieli zorganizować mi cykl wystąpień w innych świątyniach, instytucjach naukowych i uczelniach, aby publiczność miasta poznała nowego przeciwnika artystycznych idei. Zostałem wezwany przed oblicze Mistrza, który wypytał mnie szczegółowo o przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Rozmowa przebiegała, nie powiem, po mojej myśli, nie zdradziłem wcale a wcale swych zainteresowań, mogłem więc przez jakiś czas czuć się bezpieczny.

– Masz jakieś zdolności, muzyczne może, malujesz? – Podobało mi się otwarte postawienie sprawy. Mistrz zdawał się nie wiedzieć o żadnej z moich pasji, widać rodzice przedstawili mnie jako wyjątkowego tępaka.

– Nie, proszę Pana. Podobno w ogóle urodziłem się pozbawiony słuchu. Na koncertach zwykle zasypiam, więc cała rodzina przestała chodzić do filharmonii.

– Godne podziwu. Pisziesz może wiersze?

– Bynajmniej. Nie cierpię rymowanek.

– I nigdy nie napisałeś choćby kilku zwrotek dla swojej dziewczyny?

– Nie mam dziewczyny, proszę Pana...

– Mów mi po imieniu, jesteście braćmi! U nas nie obowiązuje celibat. Możesz ożenić się i założyć rodzinę. Ale pod jednym warunkiem: musisz zasłużyć się naszej sprawie. Tytuł Zasłużonego Brata możesz otrzymać już po dwóch, trzech latach służby. Jeśli będziesz się starał...

– Nie mam z kim brać ślubu – odparłem szybko. Nie miałem ochoty wysłuchiwać połowy zakonnego regulaminu po raz nie wiadomo który.

– Znajdziesz odpowiednią osobę – próbował pocieszyć mnie Mistrz. – A gdybyś wybrał samotne życie, masz przecież nas. Nie będziesz się nudził, zapewniam. Na piętrze rozrywki zawsze są wolne miejsca.

– Wiem, proszę Pana. Wiem...

Na wszystkie pytania odpowiadałem zdecydowanym głosem, nie wolno mi było okazać, iż waham się albo kłamię. Przekonałem wreszcie przełożonego o moim całkowitym braku artystycznych zdolności i zamiłowań, więc także i znajomości w światku twórczym. To ostatnie najmniej podobało się Mistrzowi.

– Gdybyś z nimi czasem przebywał, łatwiej byłoby ci walczyć. Wroga trzeba poznać, inaczej nie zniszczy się go całkowicie, nie wypłeni tych pasożytów, leni, zarozumiałców! Tych przekłębłych... kłamców! – Zaczerwienił się i spochmurniał.

– Przykro mi. Decyzję o wstąpieniu do zakonu podjąłem w dzieciństwie, stronie więc od wszelkiego rodzaju szaleńców.

– Błąd! Trzeba było ich śledzić, tropić, obserwować! Wiesz, jakich specjalistów zakon najbardziej potrzebuje? Wcale nie uduchowionych fanatyków, lecz ludzi znających wroga, inteligentnych i sprytnych w taktyce, którzy go rozpracują, znajdą najczulsze miejsca, słabo-

ści, będą krążyli wokół niego, aż udusi się we własnej pracowni, znenawidzi wszelkie sztuki i pozostanie mu umrzeć albo przyjść do nas, wyrzekając się grzesznej przeszłości. A kiedy już wszyscy staną po naszej stronie, będziemy bronić dorobku pokolenia, rozumiesz? Będziemy czuwać, aby nie pojawił się żaden nowy malarz ani poeta, żaden bezużyteczny pajac na sznurku rozkapryszonej publiczności. Zostaniemy strażnikami wyobraźni i wypełnimy ją opowieściami o szlachetnych i prawych ludziach, a dla żyjących szybko wydamy książkę, w której morał wydrukowany będzie kolorowymi literami, aby kto nie chce, nie musiał w ogóle poznawać fabuły. Przekonamy wszystkich, że najpiękniejszym dziełem jest dział ogłoszeń codziennej gazety, a drobne reklamy zajmą miejsce napuszonych fraz, zaś skandale wywoływać będą ludzie tacy jak ty i ja, a nie obwołujący się bogami pacykarze. Fotografie na zawsze zastąpią ich zaplute płótna, więc poczciwi tkacze nie będą marnować czasu na cudze fanaberie. No i jak ci się podoba nasz nowy świat? Wspaniały!

Sam sobie odpowiedział, nie musiałem więc nic robić poza przytakiwaniem. Za to mi zresztą płacono, przynajmniej tak wówczas sądziłem. Bawiłem się znakomicie, wiedząc, że za kilka godzin usiądę znowu za biurkiem, rozłożę kolejną kartę i będę ją zapisywał maczkiem, żeby zużyć jak najmniej papieru. Nie chciałem zbyt często pojawiać się w sklepie papierniczym, nie byłem bowiem pewien, czy sprzedawczyni też nie służy Wielkiemu Mistrzowi. Gdyby na mnie doniosła, nie byłoby ratunku.

O dziwo, w żadnym dokumencie nie wyczytałem, jak zakon karze zdrajców. Nikt z braci nie wspominał o takim przypadku, a nie chciało mi się wierzyć, bym jako pierwszy sprawdził, czy pod latarnią rzeczywiście najciemniej.

Zapisane karty ukrywałem w szufladzie przeznaczonej niby na podarte skarpetki, o podwójnym dnie. Nie wyrzucałem nigdy owych księżniczek męskiej bielizny, ale przyznawałem każdej parze miejsce spoczynku niczym zasłużonemu obrońcy ciepła, nadawałem imiona stosownie do epoki, w której mi towarzyszyły, wspomagały naprawdę każdy krok! Miałem do nich największe zaufanie, więc powierzyłem im straż nad moimi skarbami.

Nie wyobrażałem sobie chwili, kiedy zaniosę powieść wydawcy, a szuflada zostanie pusta i zimna jak pokój po umarłym. Ze względu na oszczędność papieru nie wykonywałem drugiego egzemplarza. Dopiero pod koniec dziesiątego rozdziału zdałem sobie sprawę, jak bardzo będę tęsknił za powieścią, nim zostanie wydana i przestałem oczekiwać tej chwili, całą uwagę skupiając na pisaniu.

W rezultacie ukrywałem rękopis bardziej przed rodziną niż przed braćmi z zakonu, którzy nie narzucali mi się z wizytami; nie będąc o nic oskarżony, nie musiałem też obawiać się rewizji. Szybko przyzwyczałem się do pełnionej wbrew woli służby i pracowałem nad prelekcją pod kierunkiem samego Mistrza. Zapisałem cały notes aforyzmami na temat kłamstwa, gdyż właśnie to pojęcie wydało mi się najlepszym dla mnie imieniem, pseudonimem, więc pod nazwiskiem Kłamacy postanowiłem szukać wydawcy, dyskretnego, uczciwego i bogatego, jak to ująłem w ogłoszeniu. Udało mi się z pierwszej wypłaty zaoszczędzić na umieszczenie go w kilku wysokonakładowych gazetach. Udając się po odbiór odpowiedzi do biur ogłoszeń, rozglądałem się, czy ktoś za mną nie idzie i aby znudzić zakonnego szpicla, wstępowałem po drodze do barów, sklepów i setek innych miejsc. Adresów wydawnictw nauczyłem się na pamięć i zniszczyłem kompromitującą korespondencję.

Bawiłem się tą konspiracją znakomicie, ale niekiedy przenikał mnie lodowaty strach, jak pewnego zimowego dnia, gdy Mistrz zebrał wszystkich w sali posiedzeń i oznajmił, że dokonał właśnie epokowego odkrycia. Tabletką antytalentowa! Kto będzie zażywał ją regularnie przez miesiąc, utraci niepożądaną zdolność raz na zawsze, nawet jeśli ich sobie nie uświadamiał, jeśli tylko drzemały w nim, słabe i niepełne.

– Właściwie – perorował – każdy z nas w jakimś stopniu jest obarczony skłonnościami do złego, fałszywego ujmowania rzeczywistości. Zazdrościmy bogini Harmonii jej władzy nad człowiekiem, umiejętności, dzięki którym stworzyła nasz świat, ale co boskie, niech boskim

pozostanie. Błuznić naszej Pani przez jej naśladowanie nie pozwolę, słyszycie? Nie zniosę, by ktokolwiek w zakonie uprawiał coś przypominającego sztukę. Dlatego jako pierwsi zażyjemy tabletkę. Wszyscy razem, tu, podczas wspólnego posiłku. Poinformuję was, bracia, kiedy nastąpi ten uroczysty moment. Zabezpieczymy się przed najgorszym z możliwych, przed ewentualnością, która spędza mi sen z powiek, że pewnego dnia przybędzie tu zdrajca, przekonany o sile własnego talentu fałszerz natury, zalęgnie się w naszej świątyni niczym robak w jabłku świętego drzewa, a my zorientujemy się, co to za ptaszek, dopiero po upadku zakonu, gdy żadna dusza już do nas nie przystąpi. Zapewniacie mnie po stokroć, że nie komponujecie, nie piszecie i nie tworzycie w żaden inny sposób. Słyszę szum? Czyżbyście mniemali, iż nie ufam braciom, którzy złożyli świętą przysięgę i czynią wszystko, abyśmy odnieśli zwycięstwo? Wierzę w siłę waszego powołania, ale niech wśród tysiąca znajdzie się jeden kłamca, jeden sprzeniewierca bezwstydy, poniesiemy klęskę. Nasza misja wymaga całkowitej pewności. Tylko wtedy przejdziemy do historii, więcej, do wieczności, jako sprawiedliwi spośród sprawiedliwych!

Wynalazek Mistrza wywołał w zgromadzeniu konsternację. Niektórzy oburzali się na niego za sam pomysł z tabletką, inni twierdzili, że absolutnie jej nie potrzebują, musi być bardzo droga i naprawdę szkoda produkować ją dla nas, lepiej zaproponować kupno artystycznym towarzystwom, którym brakuje pieniędzy na stypendia dla członków. Dać im po tabletkę i zacząć produkować takie knoty, że żaden koneser, snob czy jak go tam nazwać, nie raczy na to spojrzeć.

W korytarzach zakonu grzmiało. Poruszeni bracia omal nie stratowali Mistrza, gdy pojawił się u drzwi kaplicy bogini Harmonii, chcąc wziąć udział w południowym nabożeństwie. Dawno temu ustalono tę właśnie porę jako najbardziej odpowiednią na modły, żeby wszyscy zdążyli się wyspać i nie obrażali naszej Pani ziewaniem. Każdy chciał rozmawiać, prosić albo i grozić, byle tylko Mistrz odstąpił od swego planu.

- Nie będziemy łykać żadnego świństwa! – krzyczano.
- Precz ze sztuką!
- Tabletki na eksport!

Porządkowym nie udało się opanować sytuacji. Drzwi kaplicy nie wytrzymały naporu i wypadły z zawiasów. Cieszyłem się wtedy, naprawdę się radowałem, iż odpowiadam jedynie za prelekcję, nie wiadomo przecież, kiedy się ona odbędzie, mam mnóstwo czasu na przygotowania, bylebym zrobił to dobrze i przekonująco, mogę więc odwlekać wystąpienie, brać drobne pieniądze jak student stypendium, a po mnie choćby potop, zaraza czy inna klęska w tej świątyni, nic mnie to nie obchodzi. Podobno powinno się być wdzięcznym chlebobdawcom, kłaniać się im i dobrze o nich mówić. Tak twierdzili przy różnych okazjach zakonni bracia, widać nauczeni posłuszeństwa. Ale teraz zbuntowali się i parli prosto ku ołtarzowi bogini, po roztrzaskanych drzwiach i rozsypanych sztucznych kwiatach, bowiem naturalnych Mistrz nie pozwalał kupować. Czy to były zbyt drogie, czy kłopotliwe, w każdym razie obowiązywał zakaz stawiania ich w sanktuarium, o czym informowano każdego nowicjusza. Dlaczego mistrz robił problem z podobnych drobiazgow, nie dowiedziałem się nigdy.

Poznałem za to inne sekrety zakonu, małe i większe oszustwa, których dopuszczali się najstarsi stopniem bracia. Dostałem się też do pomieszczenia, gdzie pracowała skonstruowana przez Mistrza maszyna niszcząca skutecznie wszystkie artystyczne wytwory ludzkich rąk i umysłów. Zwyczajny biurowy utylizator, chciałoby się powiedzieć, jednak i w tym urządzeniu było coś z atmosfery zakonu, z jego pogardy dla wyobraźni. Podczas spalania można było usłyszeć jęki i krzyki, choć do rozgrzanej paszczy wrzucano przecież tylko zapisane papiery lub płótna. Kiedyś, aby spróbować, czy naprawdę niszczy się tu tyle ludzkiej pracy, czy też jest to jedynie mistyfikacja, poświęciłem stronę własnej powieści, trochę nieudaną, bo pisałem w nocy, zmęczony, mając w perspektywie nudne zakonne przedpołudnie. I zobaczyłem własny ból. Tak, właśnie ZOBACZYŁEM, a nie odczułem. Miałem tysiące oczu, które ob-

serwowały każdy zapisany znak i drgnienie dłoni, oddech, który uniemożliwiał spełnienie się w tworzeniu, spalał, zużywał cenne minuty, napędzając mechanizm użytecznej maszyny do niszczenia śmieci.

Zabijany, udęczony do ostateczności, wybiegłem stamtąd i z trudem dobrnąłem do pokoju wyznaczonego mi do pracy. Tego dnia w notatkach do prelekcji nie przybyło ani jedno zdanie, ani jeden argument. I dla Mistrza i dla mnie był to bardzo zły dzień! Niepotrzebnie eksperymentowałem z maszyną, ktoś mógł mnie przy niej zobaczyć i wyciągnąć wnioski, niektórzy bracia myślą całkiem poprawnie i byłiby niebezpiecznymi przeciwnikami dla artysty, gdyby zdołali go pośród siebie wytropić. Napchaliby mu pewnie do gardła wystarczającą na kilka wcieleń dawkę tych tabletek, śmiali się przy tym albo wlekli go dookoła posągu Harmonii jak ofiarne zwierzę, ale na szczęście Pani nie żąda ofiar, choćbym więc nawet chciał, nie zobaczę prawdziwego, dramatycznego obrzędu ze zwierzęciem opierającym się kopytami i rogami przeciw silnym kapłanom, którzy, wyposażeni w noże z obsydianu, powoli zapadają w trans przed ofiarnym kamieniem, sceną i ołtarzem zarazem, gdzie dokona się reszta.

„Bogata w wątki nasza mitologia, za dużo jej, ludzie czują przesyć” – mawia Mistrz.

Nieprawda! Epicy przeszłości nie potrafili wyobrazić sobie sceny, kiedy to przerażony kapłan, położywszy dopiero co na ołtarzu rogate stworzenie, ujrzy przed sobą człowieka i to właśnie w chwili, kiedy trzeba wbić nóż w pierś przerażonego zwierzaka. Co byś wtedy uczynił, namiestniku bogini? Zamknąłbyś najpierw oczy, zamrugał z kilka razy powiekami, sądząc że zły czar pryśnie i miast młodzieńca z rozdziawioną buzią ponownie zobaczysz ufnego koziołka, który słysząc muzykę, zdołał się już uspokoić i pomyśleć, że kamień to nowy dom, tylko słomy na razie nie przynieśli i wody, ale ludzie jak ludzie, zaraz naprawią zaniebdania. Prawdziwy kapłan ufa bogini. Opuści nóż z całą siłą, a jeżeli miraż nie umknie, ofiarnik poświęci człowieka i odłoży narzędzie z przekonaniem, że uczynił słusznie i uspokoi sumienie kwartą dobrego wina.

W domu Harmonii piwnice pełne słodkich darów zapomnienia. Będzie miał czym leczyć zwątpienie opiekun ofiarnego noża. Napełni naczynie rubinowym płynem, ale nim podniesie je do ust, poczuje odór żółci wydobytej z gnijącego ścierwa. I znów będzie musiał rozstrzygnąć, czy ma przed sobą kielich smakowitego trunku, czy też złośliwy duch znowu rozpoczął harce, uniemożliwiając cudowne odrętwienie, w które tak dobrze wierzyć, kiedy trzeba spełniać ponure obowiązki. I nie wytrzyma napięcia dzielny ofiarnik. Odepchnie kielich ze starym winem. Rozlane na stół, splami bezcenne księgi praw, tylko one liczą się w świątyni Harmonii. Ale dowiedzie swym losem święty mąż, że człowiek może opowiedzieć o sobie tak, jak tego nie czyniono przez wieki. Co widzę, co chcę zobaczyć, a na czym mi wcale nie zależy. Własnymi reakcjami, decyzjami, nie uprawiając nawet sztuki.

Gdybyś wiedział, Mistrzu, co ci tu szykują! Samo życie jest dziełem, zgoda, wielu już o tym mówiło, odkrywamy stare prawdy i cieszymy się, jakbyśmy wyruszyli w pierwszą podróż przez morze, którego brzegów i miast nikt nie zna poza tym jednym portem, z którego wypłynęliśmy jachtem bez steru i kotwicy, a żeby okręt mógł zatrzymać się na połów, jeden z żeglarzy musi cały czas śpiewać błagalną pieśń i wyobrazać sobie Harmonię, boginię bezcielesną, bez twarzy i uśmiechu, słowem, dać dowód wyobraźni, silnie tu zwalczanej. Ale kiedy pójdziemy w bój o życie. Mistrz przymknie oko i pozwoli ułożyć nowe słowa modlitwy, stworzy nawet doskonale spójną teorię, iż oto litania na przykład nie jest formą artystyczną, tak samo jak zbiór praw, także pieśń poświęcona naszej Pani to tylko jeden z rozlicznych obowiązków braci, a że ich wymyślanie wymaga pewnych umiejętności, rzecz to oczywista, szewc także musi umieć łątać podeszwy, piwowar robić ekstrakt, aby w pewnym momencie czegoś nie zabrakło wśród naszych ukochanych rekwizytów. Jakaś wynalazczość powinna być dozwolona, niech nam na przykład znudzi się fason wózka do przewożenia słoików, pa

trzeć już nam się nie chce na ten bubel. No i ludzkie pomysły zostaną wykorzystane, ale tylko te potrzebne, gdy tak zostaną przez ludzi osądzone, a zachwyty będzie trwał nad nimi przynajmniej przez krótki czas.

Do jednego Mistrz nigdy nie dopuści: żeby nadano formę Harmonii. Ma swój kobiecy rodzaj, musi jej wystarczyć takie określenie. Kaplica pozostanie pusta, wszyscy, stojąc, słuchać będą hymnu na cześć Pani, w przestrzeni najłatwiej zjednoczyć się z jej technieniem, czystą ideą bez kształtu.

Moje obawy spełniły się w drugą rocznicę złożenia ślubów. Po odrzuceniu przez zgromadzenie tabletki Mistrz prawie osiemnaście miesięcy nie straszył artystów nowymi zagrożeniami. Traktował mnie przyzwoicie, nie powiem, nawet przyznał nagrodę za konsekwentnie nieudaną pracę nad prelekcją. Przekroczyłem wszelkie możliwe terminy i granice tolerancji, moja opieszałość dowodzi absolutnego braku talentów.

– Nie umiesz niczego napisać, sformułować zdania! To fantastyczne – zachwycał się publicznie. – Trzeba będzie szybko cię awansować, mój drogi. Może jeszcze przed upływem trzeciego roku służby. Wszystko zależy od środków. Mam dobrą wolę, jak i ty. Dojdziemy razem do czegoś.

Broniłem się jak mogłem, by nie zostać zausznikiem Mistrza. Udawałem najgorszą niezdarę, przy wspólnym posiłku tłukłem regularnie kubki, łamałem widelce, a nawet wyszczerbiłem na czerstwym chlebie nóż, który służył zakonowi od pokoleń i wydawał się nad wyraz odporny na niszczyielskie zabiegi. Nie będę się chwalił, ile braw zebrałem.

– Nareszcie kupimy maszynkę do krojenia pieczywa!

– Znakomicie, mały! Kopnij jeszcze ten stary kuchenny stół do gotowania kapusty.

– Załatw nasz autobus. Na wycieczkach wszyscy dostajemy choroby morskiej i musimy rzygać. Usiądź za kierownicą i...

Te ostatnie propozycje Mistrz skwitował wymownym milczeniem. Z taką nedorajdą jak ja mógł żartować, bawić się i sprzeczać, ale życia by mi nie powierzył. Wymyślił jednak nowe zajęcie – zamykał się ze mną w gabinecie, wyjmował przeróżne artystyczne akcesoria, ponoć skonfiskowane zakamuflowanym w zakonie twórcom, których przegnał na cztery wiatry, ale najpierw pozbawił narzędzi profanacji świętej idei.

Kazał mi malować portrety, samemu do nich pozując, wyginał się i robił miny. Śmiał się na cały zakon, kiedy udawałem nadzwyczajną nieporadność, nieumiejętność naszkicowania choćby oka, niekoniecznie błyszczącego najczystszą nienawiścią jak źrenice Mistrza, ruchliwe, pełne niepokoju niczym u zabójcy, który boi się zdemaskowania przez sprytnego detektywa. Krytykował mnie, szydził z nieudolnej kreski, nieznamomości proporcji. Jakże to ja mogłem skończyć jakąkolwiek szkołę, ja, najprawdziwszy patałach i leń, nie pojmuję najprostszych zasad geometrii, sześcianu nie potrafię naszkicować zgodnie z jej zasadami; figury, mozolnie przeze mnie kreślone na kartonie, nigdy nie istniały, tak, po prostu jestem ślepy, głuchy i niemy, idealnie nieestetyczny, nawet z wyglądu, ani ładny ani brzydki, nijaki i szary także w głupocie; gdyby Mistrz nie był zdrowy i silny, ustanowiłby mnie swoim następcą, lecz w tej sytuacji naprawdę nie warto, pożyje jeszcze ze trzydzieści lat, dłużej ode mnie, choć mógłby być moim ojcem, wolałbym wujkiem, zawsze brakowało mi wujka, u którego mógłbym ukryć przed najbliższą rodziną jakiś fant, na przykład prezenty urodzinowe.

O takich to sprawach rozmawialiśmy przy malowaniu lub pisaniu, Mistrz dawał mi pół godziny i kazał opisać jakiś przedmiot, a ja ciągle myliłem się, kreśliłem oraz używałem najbardziej nieudolnego stylu, niejasnych i pokrętnych wyrażeń, na jakie było mnie stać. W bełkot, odczytywany głośno, śmieszył przełożonego jeszcze bardziej niż chybione dokonania plastyczne lub piosenki dla dzieci, śpiewane po nadużyciu wina. A ja z coraz większym niepokojem godziłem się na następne tego rodzaju zabawy, bojąc się, że zostaną zdemaskowane, jeśli w porywie gniewu odrzucę maskę, wykrzyczę, jak bardzo nienawidzę zakonu, a kocham moje pisanie i szkice, które ukrywam w szafeczkach i wewnątrz półek, bowiem naprawdę są

one teczkami na rysunki; chowam także mydło i rozpuszczalnik, aby myć dokładnie ręce, kiedy rodzice już się położą, nie mogę przecież podczas porannego nabożeństwa pokazywać dłoni upapranych farbami. Gdybym ukrywał ręce w kieszeniach, Mistrz nabrałby podejrzeń, może zresztą żywi je przez cały czas i dlatego bawi się z ofiarą jak smok z myszką, zaraz, czy aby na pewno użyłem właściwego porównania, ustalonego w języku przed wiekami, jakim moi przodkowie w codziennym bajdurzeniu maskowali brak precyzji słowa, dość rzec, iż o nich pomyślałem, jak i o przedziwnych alfabetach z trójznakami i poczułem się rozpieszczonym dzieckiem, setnym pokoleniem, które wyczerpało już studnie i wyjałowiło ziemię. Zaprağnałem być pierwszym karczownikiem, twórcą ładu, odkrywcą prawdy, że nasiona należy rzucić na przygotowany grunt; seniorem gramatyki, tym pierwszym, który opisał brzmienie i zbadał rezonanse. A tymczasem oklaskiwano moje udawane kalectwo! Symfonia zdrady potęgowała jeszcze niepewność, ból przejściowych stanów, w których tylko potencjalnie odczuwa się przysze możliwości.

I kiedy tak trwałem w rozleniwionej nadziei, usłyszałem o nowym wynalazku Mistrza. Wokół wejścia do zakonu zaczynało właśnie rozlepiać afisze z ostrzeżeniem, że każdy, ale to każdy artysta będzie przez bractwo odkryty, ponieważ przy bramie zainstaluje się czujniki, umożliwiające jego rozpoznanie. Skóra mi ścierpła na plecach, ręce drżały, mocno zacisnąłem pięści i jakoś przetrwałem popołudnie. Kiedy miał nastąpić ów sądny dzień, władze zakonu oczywiście nie podawały.

Wieczorem poszedłem do pokoju ojca. Stałem przez chwilę w drzwiach, zanim powiedziałem:

– Nie chcę tam dłużej...

– To znajdź sobie coś lepszego! – wrzasnął z oburzeniem i przechylił trzymaną w dłoni filiżankę kawy odrobinę za szybko, tak, że płyn rozlał się ciemnobrunatną strugą, plamiąc białą koszulę ojca, obrus i pokrycie fotela.

– Tato, posłuchaj... – daremnie próbowałem wyjaśniać, protestować. Ojciec zajął się, równie bezskutecznie, walką z połyskującymi fioletowo w świetle nocnej lampki plamami, zmarnował niemal całą paczkę różowych serwetek, aż wreszcie niecierpliwym ruchem zerwał z siebie koszulę, a ze stołu obrus i cisnął wszystko na podłogę. Popatrzył z rozpaczą na pustą filiżankę i rzekł jakby do siebie:

– Będziesz żałował.

Z pozostałymi członkami rodziny wołałem nie poruszać nawet sprawy zakonu. Wziąłem sobie w kuchni kawałek ciasta i usiadłem do pisania. Nim wybiła północ, skończyłem rozdział powieści. Nie położyłem się spać, ale rozpocząłem następny. Kryć się przed najbliższymi? Powiedzieć im prawdę? Może jeśli zobaczą, czym się zajmuję, zrozumieją mnie i pozwolą pisać! Nie, na to nie potrzeba zezwolenia! Ani rodziny, ani żadnych zakonów! Nie uwierzę w czujniki ani wykrywacze. Mistrz blefuje, żeby się wykazać, obawia się mnie, może gra, chcąc obnażyć najgroźniejszego przeciwnika, reszta braci nie liczy się wcale, stoi i czeka na cios, pozbawiona szans, a ogóle przeciw temu nie protestuje. Gdybym próbował wytłumaczyć owym statystom, jakie zgotowano dla nich przeznaczenie, zakrzyczeliby mnie, obrzucili wyzwiskami albo wykopali za bramę zakonu; podobno w jego historii zdarzały się takie samosady.

Noc kończy się, a kiedy zechcę, odsłonię okno i zabraknie jej oddechu, natchnienia na życie, kryjówki wreszcie. Chciałem umieścić to zdanie na początku ostatniego rozdziału powieści, ale skreśliłem je falistą linią; ja, który zbędne słowa wyrzucam na ogół zdecydowanie, w tej chwili niepewnie trzymałem pióro, patrząc na świt rumiany tysiącem pasteli, rozplływających się w seledynach znaczeń, tandetny i jeszcze niepozorny. Ubrałem się ciepło i wyszedłem na ulicę, pustą, zimną i cichą. Do zakonu trzeba przybyć bardzo wcześnie, żeby zdążyć na śniadanie i najęść się na koszt firmy, wypić dwie duże herbaty z cukrem, a potem chodzić po pokojach, mówić dużo i głośno.

Już z daleka zauważyłem, że coś jest nie tak. Nie tak jak w zeszłym tygodniu i kilku poprzednich. Bracia stali na dziedzińcu, nastawiając kołnierze płaszczy. Kiedy podszedłem bliżej, natarczywy, przypominający syk os dźwięk omal mnie nie ogłuszył. Narastał coraz bardziej, kiedy kolejne osoby przekraczały bramę. Alarm brzmiał i brzmiał, rozdzierał spokojne dotąd mury świątyni, groził, ostrzegał. Mistrz, blady i przerażony, opierał się o kolumnę krużganka. W zakonie nie było nikogo oprócz artystów.